Nr. 31. Warszawa, dnia 24 Lipca (5 Sierpnia) 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

FILOZOFIA NAUKI SPOŁECZNE NAUKI PRZYRODNICZE HISTORYA JĘZYKOZNAWSTWO SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Zwyrodnienie Anglii.

Konferencye w Hadze dziwnie w połączyły się z brutalną natarczywością rządu angielskiego na rzeczpospolitą południowo-afrykańską, aby ukazać w jaskrawem świetle ciekawą, dla przyszłych dziejów świata ważną, przemianę, spełniającą się za dni naszych w duchu zbiorowym Anglii. Oto naród, kroczący na czele cywilizacyi, w miarę tego, jak nabiera wielkopaństwowego miąższu, zawraca do pierwotnego barbarzyństwa; odżywają się w nim szczątkowe jakieś żywioły i formy życia, przeżytki zyskują żywotność, która je z regestru wiedzy naukowej przenosi na regestr czynów i wypadków współczesnych. *Greater Britain*, stając się potężną, staje się zarazem i okrutną. Dawne jej tradycye ludzkości, współczucia dla cierpiącej jednostki i całych zbiorowości ludzkich zapadają w mrok. Wysforowawszy się na czoło świata jako państwo z największym obszarem i najwyższem zaludnieniem, Anglia wyzbywa się dawnego ducha swego, którym i u siebie, w sobie rosła i potężniała, i na zewnątrz promieniowała na kontynent europejski, na świat cały. Wraz z wielkomocarstwowością, jakiej przykładu dotychczas nie było, rozwinięte nowe poczucie siły wyrabia nową jej potrzebę i pożądanie, nowe zasady i ideały — i nowe też sumienie.

Tak, nowe sumienie; bo prawdą jest dla pilnego dostrzegacza dziejów ludzkich niewątpliwą, że życie w wielkiej masie, zbiorowe czy jednostkowe, życie niezindywidualizowane, dorabia przekonania do żądz, pragnienia, zdolne wykształtować się w ideał, wyprowadza z tej głównej namiętności, która życie w danej chwili i danym ośrodku porusza. Sofistyka przyczepia te przekonania, które człowiek niby wyznaje, te zasady, któremi niby się rządzi, do rozumu i logicznych jego procesów: rzeczywiście jednak sama tylko namiętność wydaje z siebie te owoce, które na drzewie myślenia dla przyzwoitości, przez fałsz zawieszane, prędko na niem gniją. I Anglia, opanowana namiętnością rozpościerania się po świecie i utrzymania wszystkiego, co już zagarnęła — nie może wyłamać się z pod tego prawa psychologicznego, które rządziło światem od wieków najdawniejszych i rządzić będzie w bardzo jeszcze późne, od doby obecnej dalekie. I druga jeszcze prawda psychologii dziejów również stwierdza się na dzisiejszej Anglii. Naród, wydawszy z siebie rząd i formę życia państwowego rząd określającą, wpływowi jego czynów, jego polityki, broniących jej zasad i dorabianych do namiętności przekonań ulega — i pod tym wpływem istotę swą przetwarza. Wraz z nową Wielką Brytanią powstaje też i nowy wielki naród angielski. Rozwija się w nim cześć siły.

Dowodów na to rok bieżący dostarczył niemało. Pamiętne rozprawy nad podarunkiem narodowym dla zwycięzcy pod Omdurmanem, „lorda" Kitchenera, pokazały kierunek zmiany, dokonywającej się w umysłach. Kiedy Morley przypomniał Izbie gmin, że bohater narodowy dopuścił się barbarzyństwa, zburzył grób, odkopał szczątki byłego Mahdiego Kordofanu i Sudanu i kazał je potajemnie w Nil wrzucić, zapewne poprzednio jeszcze porąbawszy—aby utraciły swe zcalenie utrzymujące indywidualność — pobudka polityczna, przytoczona przez rząd, jakoby to był jedyny sposób stłumienia raz na zawsze w Sudańczykach czci, jeśli nie niebezpiecznej, to niedogodnej i uciążliwej dla panowania angielskiego — w oczach ogromnej większości Izby stała się argumentem dostatecznie ją przekonywającym. Prócz garstki stałych oponentów, Irlandczyków i radykalnych, nie wystąpił nikt w szranki, aby przynajmniej wyrazić ubolewanie nad „smutną" koniecznością. Głosowanie wykazało tak druzgocącą przewagę pobudki politycznej nad sumieniem etycznem, że nikomu na myśl nie przyjdzie powątpiewać o duchu, który ciało prawodawcze wielkiego narodu, kroczącego na czele cywilizacyi, ożywiał. Po pierwszym tym objawie przyszły inne wymowniejsze.

Anglia w walce z Atrydami na pograniczu z Afganistanem, dalej z Buszyrami, z murzynami krain Beczuana i Matebele, obejmujących terytoryalnie Transwal od północy i zachodu — dla szybszego i lepszego skutku śmierci używała w tych czasach niegodziwych kul *dum-dum*, które ranionemu sprowadzają śmierć działaniem następczem już po wryciu się w ciało. Irlandczycy w Izbie gmin zapuścili sondę w sumienie rządu. Sprawa była palącą, bo podczas zatargu z rzecząpospolitą południowo-afrykańską rząd wysyłał ulubione swe pociski nietylko do karabinów, ale i do dział dla wojska na Przylądku — zatem przeciw Boerom. I znowu gabinet się wywinął, i znowu większość ogromna otworzyła mu furtkę, i znowu duch Anglii nowej błysnął i zostawił po sobie ślad, dla prawdy szacowny. Dillon, który w oburzeniu zawołał był: „Hańba," musiał nadstawić pleców pod dyscyplinę przewodniczącego. Skończyło się więc wszystko klęską tej strony, która sama jedna powołana była do zwycięztwa. Zachowanie się Anglii w Hadze uzupełnia wreszcie materyał dowodowy, jaki chwila bieżąca przeciwko niej zebrała. Niewolno bombardować miast

otwartych, nadbrzeżnych; Anglia odpowiada: *Nie przystaje*. Niewolno zabierać własności prywatnej na morzu. Anglia znowu krzyczy: *nie*. Potrzeba rozciągnąć konwencyę genewską na wojny morskie: znowu *nie*. Nigdzie nie było Anglii tam, gdzie przebłyskiwało choćby najsłabsze światełko ludzkości. Ale za to *dum-dumy* znalazły w niej wymowną orędowniczkę. Niechże je weźmie do swego herbu, kiedy tak gorąco za niemi przemawia! Duchy Wilberforce'ów, Canningów, Stuartów i Gladstonów — wpatrują się w swą ojczyznę i nie poznają jej. Anglii dawnej już niema.

Tydzień polityczny. Gen. Negrier nietylko głośno buntował oficerów przeciwko rzeczypospolitej, ale jako inspektor armii rozesłał do dowódców czterech podległych sobie korpusów okólnik zapowiadający przewrót jako zbawienie i okólnik ten kazał po odczytaniu zniszczyć. Gdy tajemnica się wydała, odmówił złożenia dokumentu i minister wojny musiał go ściągnąć z prowincyi. Było już więc zupełne *pronunciamento* w stanie przygotowawczym. Rząd nie czuje się dość silnym, aby przestępcę oddać w ręce sprawiedliwości i w ogólnem śledztwie wykryć jego wspólników. Na czyj też rachunek działał generał?

Proces ponowny Dreyfusa rozpocznie się na pewne w przyszłym tygodniu.

W Przedlitawii coraz żywszy, coraz większe gromady i obszary niemieckie obejmujący ruch przeciwko § 14 i zarazem przeciwko podatkom pośrednim. Cukier podobno pod ciężarem opłat jęczy; zajękną i piwo i wódka. Najwięcej jęku będzie, gdy się okaże, iż dotychczasowy stosunek 70% do 30% w w wydatkach wspólnych (po odliczeniu 2% na Pogranicze) i nadal pozostanie obowiązującym. Przedłużenia tego dokona cesarz na mocy innego, a nie owego znienawidzonego § 14.

W sobotę zamknięto konferencye w Hadze. Podpisano wspólne protokóły, nie bez protestacyj — głównie angielskich. Konwencye popodpisują same rządy.

W Stanach Zjednoczonych wielki ruch przed ogólnymi wyborami. Minister wojny Alger dostał od Mc Kinleya odprawę. Na Kubie stan niepewny.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ZWIĄZKI NIELEGALNE.

W sferach właściwych zwrócono uwagę na znamienne zjawisko społeczne: coraz większy wzrost pożycia nielegalnego. W celu zwalczenia takich stosunków stworzono komisyę duchowną, która ma zbadać sprawę i wskazać środki przeciwdziałania. Postawiono tedy całą rzecz na gruncie wyłącznie kościelnym, i to tylko w zakresie jednego wyznania. Tymczasem w rzeczywistości całe to zjawisko jest wynikiem warunków społecznych i ekonomicznych, a więc niepodobna zaradzić złemu, stojąc na stanowisku specyalnem. Nie potrzeba nawet badań osobnych, ażeby spostrzedz, że pożycia nielegalne najwięcej się rozwinęły w wielkich zbiorowiskach ludzkich, przeważnie zaś w ogniskach przemysłu wielkiego. Zaczynając od góry, widzimy ten stosunek na tle ekonomicznem. Już dawno komedyopisarze wyzyskali temat rodzin podwójnych. To wszakże, co się na scenie odtwarza, nie daje nawet przybliżonego pojęcia o tem, co jest w życiu. Przed paru laty czytaliśmy w pismach sensacyjne opowiadanie o pewnej nieszczęśliwej kobiecie, wtrąconej nagle z dobrobytu w nędzę wraz z dziećmi. Ojciec dwu rodzin, człowiek zamożny, miał środki na to, ażeby być wzorowym opiekunem dwu towarzyszek życia — legalnej i nielegalnej, oraz ich dzieci. Nie był wszakże o tyle przezornym, ażeby prawnie zabezpieczyć byt rodziny nielegalnej. Wypadek ten wywołał śród inteligencyi rozmyślania na temat uobywatelnienia dzieci nieprawych.

Zjawisko to na gruncie sfer zamożnych i dostatnich wiąże się z kwestyą rozwodową. Trudność rozerwania na drodze prawnej związków małżeńskich, przewlekła, zawiła i kosztowna formalistyka — uświęcają w życiu związki nielegalne i częstokroć pociągają za sobą bardzo smutne następstwa moralne i ekonomiczne.

Inne czynniki grają ważną rolę w nielegalnem pożyciu sfer pracujących. Tam związek z kobietą ma znaczenie przeważnie materyalne. Towarzyszka wchodzi do domu jako współpracownica mężczyzny, jako regulatorka i kierowniczka trybu i spraw jego życia codziennego. Jakaż jest przyczyna tego zjawiska charakterystycznego, że sfery pracujące coraz częściej i chętniej uciekają się do związków nielegalnych? Przedewszystkiem ludzie ci powodują się obawą, że stały związek kościelny wobec niepewności bytu może się stać w przyszłości przyczyną ich klęsk materyalnych. Utrata zarobku wtrąci w nędzę już nie jedną, lecz kilka osób, zmusi je do wspólnego dzielenia nędzy i niedoli. Gdy tymczasem brak więzów otwiera mężczyźnie drogi na cztery strony świata, a kobiecie daje możność, nawet z „przychówkiem," do przybrania innego towarzysza.

Po za tem niezmiernie ważna jest jeszcze inna przyczyna: Bardzo często czytamy ogłoszenia: „Potrzebny: woźny, lokaj, ekonom, ogrodnik, subjekt, majster itd. *kawaler*." Albo: „Potrzebna pracownica *samotna*." W wielu więc dziedzinach zarobkowych więzy małżeńskie zamykają drogę do pracy. Taki stan rzeczy musi oczywiście wpływać na rozwój związków nielegalnych. W Cesarstwie rozwojowi pożycia nielegalnego uderzająco sprzyjają między innemi przyczyny czysto kościelno-kancelaryjne i obyczajowe. Zawarcie związków małżeńskich wymaga wielu formalności i kosztów. Częstokroć paszport prze-

---

Edward Strompf.

Na szczyt Lalwaru.

(Z wrażeń kaukaskich).

(Dokończenie).

Gospodyni zakrzątała się koło wieczerzy. I dopiero teraz, kiedy zbliżyła się do jasno płonącego ognia, kiedy rozkładała na ziemi serwetę i podawała wodę do umycia rąk, dopiero teraz przyjrzeć się mogłem tej postaci, która mi długo żywa przed oczami stać będzie.

Była to młodziutka, dwudziestu lat jeszcze niemająca kobieta, o delikatnych rysach twarzy, ozdobionej ostrym, kształtnym nosem i drobnemi ustami, pokazującemi dwa rzędy pereł, o ciemnych oczach, przysłoniętych długiemi rzęsami, takich bezdennych, pełnych niewysłowionego uroku i ocienionych leciuchnym cieniem jakiegoś smutku, czy tęsknoty... Wzrostu była średniego, o wysmukłej kibici i zręcznych ruchach. I ta ostra jej twarzyczka, smętne oczy oraz zwinne ruchy cisnęły mi obraz najpiękniejszej istoty leśnej—wdzięcznej gazeli.

Elgudża, dorzucając drew do ogniska, gawędził z Tatarami, co przywlekli się z lasu, aby popatrzeć na dziwnego gościa. Oczu nie odrywałem od niej, kiedy się zbliżała, przygotowując nam wieczerzę a wpatrując się w ogień; kiedy znikała we wnętrzu szałasu, myślałem nad tem, co może znaczyć ten smętny wyraz jej cudownych oczu? I radbym był wówczas największą ponieść ofiarę, aby módz te oczęta całować i spić z nich smutek, co istotę wdzięczną dręczył...

I nie rozwiązałom męczącej zagadki. Dopiero nazajutrz dowiedziałem się, że jest nieszczęśliwa w swem pożyciu małżeńskiem, że Elgudża, sam nie pracując, obarcza ją nawałem roboty, źle się z nią obchodzi i często nawet katuje.

Teraz, gdyśmy siedząc wokoło ognia, jedli podane nam w miedzianych miseczkach kwaśne mleko z *czurekiem* *), ona też przysunęła się do ogniska, tuląc u kształtnej piersi niemowlę, od chłodu nocnego skulone. A mąż, rozciągnąwszy się, wciąż ją z miejsca spędzał, to wody każąc sobie przynieść, to innych usług wymagając.

Po wieczerzy wszyscy się porozchodzili. Otuliwszy się w paltot, który zwinięty u siodła był przywiązany, położyłem się na wojłoku. Ogień ciepło dawał, lecz od lasu wiał chłód nocy wilgotnej: zasypiając już prawie, poczułem, jak ktoś okładał mię z tej strony okryciami ciepłemi. Podniósłszy głowę, ujrzałem ją, tę leśną gazelę, ten smutek jej oczu i dobroć bezdenną; pochyliłem głowę i przyłożyłem rękę do serca, albowiem tym gestem prostym zwykł Kaukazczyk wyrażać swe podziękowanie: inaczej jej podziękować nie mogłem, zresztą słowami nie wyraziłbym wielkiej wdzięczności dla tego prostego serca. Ona spojrzała i głową skinąwszy, szybko pobiegła do szałasu.

I znów myślałem o ogromnej samotności, którą jeszcze bardziej potęgowała obecność ludzi, śpiących u ognisk, rozsianych na wielkiej przestrzeni lasów. Lecz teraz samotność nie wydawała mi się już tak wielką: czułem duszę dobrą, istotę bliższą mi od innych...

W górze las śpiewał swą cichą, senną pieśń nocną; obok słyszałem ciężki oddech krów, spoczywających w odległości kilkunastu kroków; od czasu do czasu koń parsknął i nieraz psy, te straszne psy koczowisk zrywały się szczekając i warcząc, i biegły do lasu: czuły tam niedźwiedzia, który w wędrówkach swych nocnych, zwabiony blaskiem ognia, lubi się wałęsać koło rzuconych wśród lasu drobnych siedzib: w chwilach ciszy słyszałem lekkie trzaskanie ognia, palącego się niewielkim płomieniem; nie było słychać jedynie głosów ludzkich...

* *

Obudziłem się o świcie. Między liśćmi rozpostartych nade mną konarów wielkiego dębu przeświecało blade, zimne niebo wczesnego poranku. Oprócz szałasu Elgudży stało tu jeszcze kilka innych, w których mieszkali Tatarzy. Elgudża pilnował stad księcia gruzińskiego, tamci — włościanie przybyli z własnemi stadami. Szałasy te mają postać półkuli i zbudowane są z wetkniętych w ziemię i wygiętych pałąków, okrytych grubym, czarnym wojłokiem.

W koczowisku zaczynało się życie; dzie-

*) Pszenny chleb zakaukaski.

dawniony staje się przyczyną rozchwiewającą ślub. Wyjednanie i zebranie innych dokumentów, wymaganych przy tej ceremonii, oraz żądanie znacznej opłaty za ślub, jest dla ludzi ubogich tak kłopotliwe i kosztowne, że nieraz czynią oni odwrót w połowie drogi zabiegów i wolą następnie z kobietami wybranemi wchodzić w związki nielegalne. Wreszcie sprzyja ich rozwojowi zwyczaj wyprawiania wesel sutych. Kogo nie stać na dostateczną ilość trunków i jadła, ten nie może myśleć o ożenieniu. To też wesela, zwłaszcza w sferach włościańskich i rzemieślniczych, niejednokrotnie pochłaniają wszystkie oszczędności i stają się następnie przyczyną nędzy długoletniej.

U nas te same czynniki, może cokolwiek w słabszym stopniu, grają jednak nieposlednią rolę. To jest właśnie źródło wszelkich powikłań majątkowych, rozterki przepisów prawnych z faktami w życiu uświęconymi, co ostatecznie wielu ludzi doprowadza do zupełnej ruiny ekonomicznej, wydziedziczenia i poniewierki.

Z innych, ogólniejszych zjawisk społecznych i ekonomicznych, oddziaływających na rozwój związków nielegalnych, zaznaczyć należy powinność wojskową, która na długi czas rozdziela młode małżeństwa. Mężowie poszukują sobie towarzyszek przygodnych, żony — opiekunów i pomocników w gospodarstwie. Następnie — wędrówki mas ludności, poszukujących zarobku. Dziś już u nas daje się zauważyć powszednie zjawisko: zarobkowanie włościan rolnych w kopalniach lub fabrykach. Jedni pracują tam po parę miesięcy, inni po pół roku, inni pozostają na stałe, lecz nie chcąc pozbywać się gruntu, oddają go wraz z rodziną w opiekę komu innemu. Sami pędząc życie kawalerskie w ognisku pracy przemysłowej, zawiązują pożycie nielegalne, gdy jednocześnie na wsi czynią to samo ich żony. Inni wreszcie wędrują daleko, bądź jako robotnicy rolni, bądź wyrobnicy lub rzemieślnicy. Niepewność i tymczasowość warunków trwa nietylko miesiące, lecz i lata całe. Tym sposobem rodzina rozerwana siłą potrzeb ekonomicznych, rozpada się i znieprawia, wbrew nierozerwalności ślubów kościelnych. Zjawisko to, jakkolwiek bardziej ukryte, istnieje wszakże i w innych sferach ludzi pracujących. Często pogoń za chlebem zmusza mężów do przebywania daleko po za obrębem swych ognisk rodzinnych po lat kilka. Nowe urzędy, posady, warsztaty w dzielnicach odległych, w których kultura stawia zaledwie pierwsze kroki i czyni podboje z wielkim mozołem — mogą być zajęte tylko przez ludzi pojedynczych, samotnych. Tam, gdzie się toczą bitwy ekonomiczne, gdzie armie pracowników prowadzą życie obozowe, trudno obarczać pochód rodzinami. Szeregowcy armii ekonomicznej wolą więc czuwać nad niemi zdaleka. Pozostawiają je na czas nieokreślony w stronach rodzinnych; sami zaś, o ile się nadarzy sposobność, wchodzą w związki nielegalne. Naturalnie i żony opuszczone nie zawsze bywają wierne swym mężom na znaczną odległość, podczas długiej rozłąki.

Są wreszcie pewne warunki prawne i zwyczajowe wpływające na rozrost związków nielegalnych. W niektórych miejscowościach np. nadziały gruntów włościańskich mogą być własnością wdowy, ale tylko do powtórnego zamążpójścia. To samo widzimy w przepisach emerytalnych: Wdowa traci prawo do emerytury po powtórnem zamążpójściu.

Jak widzimy tedy, główną przyczyną związków nielegalnych są warunki bytu. Rozwój ekonomiczny na podstawach urządzeń współczesnych i idąca z nim w parze różnorodność szczebli bytu materyalnego mas ludności, nie sprzyja wcale rozwojowi i nietykalności związków małżeńskich. A więc jeżeli istnieje jakaś myśl i inicyatywa, mająca na celu naprawę obecnych podstaw rodziny i obronę jej legalności — zadanie to trzeba powierzyć nie komisyi specyalnej, uwzględniającej jedynie stronę kościelną, lecz jakiejś grupie rzeczoznawców wszechstronnych, którzyby wzięli pod uwagę różnorodne warunki bytu mas ludności na podłożu ekonomicznem i społecznem.

LISTY PETERSBURSKIE.

Rosya wobec budżetu państwowego.

Ciekawą niezmiernie rozprawę zamieścił p. N. Krjukow w *Peterb. Wied.* p. t. „Rosya wobec budżetu państwowego.“ Niepodobna zaznajamiać czytelnika z całkowitą treścią tej pracy, więc poprzestaniemy tylko na streszczeniu i scharakteryzowaniu ważniejszych poglądów i wywodów. Autor podczas swoich podróży za granicą niejednokrotnie miał sposobność rozmawiać z działaczami politycznymi i był zdumiony ich znajomością stosunków rosyjskich. Wszyscy oni są tego przekonania, że Rosya posiada bogaty rząd i ubogi lud. „Istotnie — mówi autor — jeżeli porównamy budżet państwa naszego z innemi, to się okaże, iż żaden rząd nie posiada w swem rozporządzeniu takich środków jak rosyjskie; jeżeli zaś zajrzymy do gospodarczo-ekonomicznych warunków życia ludności, to się przekonamy, że ona jada ubiera się i wogóle prowadzi życie znacznie gorsze, niżeli mieszkańcy zagraniczni. W większości państw europejskich już zapominano, co to jest analfabeta, gdy tymczasem w naszej ojczyźnie oświata jest dostępna dla mniejszości, a robotnik oświecony jest rzadkością. Słowem, jeżeli zechcemy przeprowadzić bezstronną paralelę między Rosyą a państwami europejskiemi, nie mówiąc już o Ameryce, to trzeba ze smutkiem wyznać, że nigdzie, szczególnie zaś śród ludności wiejskiej, niema takiej biedy, takiego niechlujstwa i ciemnoty umysłowej.“

---

ci wypędzały bydło, kobiety rozdmuchiwały tlące się ogniska, z których wiły się do góry cienkie smugi dymu; niektóre powracały od szemrzącego w pobliżu strumyka z wielkimi dzbanami miedzianymi na ramionach. I te czarne półkule szałasów, te czerwone szaty kobiet, migające na zielonem tle lasu, wspinającego się stromą ścianą ku wschodzącemu gdzieś za górami słońcu — ginące w gęstwinie stada bydła, ten ruch i krzątanie się: wszystko dawało malowniczy obraz budzącego się życia w pierwotnem siedlisku ludzkiem. Widok taki unosi myśl ku dawnym dziejom, ku zamierzchłej przeszłości, którą się wielokrotnie usiłuje odtworzyć w wyobraźni — i wydaje się świetną tej wielkiej historyi, dziejów ludzkości, ilustracyą.

Ełgndża osiodłał konie i ruszyliśmy ścieżyną pod górę, a po paru godzinach przybyliśmy do koczowiska Tatara, obywatela ziemskiego z doliny Borczalińskiej, u którego bawili moi znajomi Gruzini.

Wyglądało ono nieco inaczej. Stało tu kilka szałasów — dla gospodarza, służby i gości; były świeże, czyste, wyłożone dywanami. Znalazłem tu też sporo zdobyczy cywilizacyi, największą wszakże z nich były dwa listy z kraju, które towarzysz mi przywiózł z biura pocztowego, znajdującego się w odległem o kilkadziesiąt wiorst miasteczku.

Lasy Hudżubskie ciągną się u stóp Lalwaru, najwyższej w okolicy góry, dochodzącej 8,400 stóp wysokości. Droga na jej szczyt wiodła z początku przez te lasy, lecz na pewnej wysokości ich miejsce zajęły rozległe pastwiska. Nad źródłami rosły tu i owdzie kępki drzew i krzewów, wśród których — ku wielkiej radości — ujrzałem sploty warkoczów naszej brzozy północnej; rośnie tu ona pojedyncze, a taka nędzna, pokrzywiona, karłowata; nie swojsko jej jakoś na tych skałach i kamieniach, żarem południa zalewanych.

Wkrótce znikła nam zupełnie roślinność. Staliśmy niby na ostatnim tarasie, a nad nami wznosiła się wysoka, stroma, naga kopuła kamienna o siwych bokach, zieleniejących tu i owdzie od rzadkiej trawy i pokrywających skałę porostów. Gdyśmy byli na dole, szczyt jej przesłonięty był lekkim obłokiem; obecnie wiatr rozwiał obłoki i wierzchołek strzelał do góry zupełnie czysty.

Zszedłszy z koni, pięliśmy się dalej piesz po kamieniach i po uciążliwej drodze dosięgliśmy wreszcie szczytu. W promieniu kilkudziesięciu wiorst mieliśmy przed sobą najbardziej czysty obraz lasów, wzgórz, wąwozów i dolin, jasnemi wstęgami rysujących się dróg i plamami rozrzuconych tu i owdzie wiosek. Dalsze miejscowości ginęły pod gęstem okryciem obłoków, które, ścieląc się niby morze na powierzchni ziemi, zasłaniały nam równiny podtyfliskie, sam Tyflis, prawie o sto wiorst odległy, oraz rozłożone hen za nim ku północy doliny Kachetyi i Kartalinii. Dopiero główny łańcuch Kaukaski wynurzył się po nad to morze, świecąc się w blasku słonecznym nieprzerwaną linią wiecznego śniegu i stanowiąc północne kresy rozległego na trzy setki wiorst widnokręgu. Wprost przed nami wzrok opierał się o lśniącego olbrzyma, świetnie panującego nad innymi szczytami: był to Kazbek. Elbrus ginął w chmurach, które z zachodu zajęły koło horyzontu. Na przestrzeni tych setek wiorst, które wzrok obejmował, tyle było barw i ich odcieni, a wszystkie takie miękie, łagodne i ciepłe; tylko lody szczytów wysokich iskrzyły się blaskiem zimnym, stalowym — lecz tak daleko, daleko... Zdawało się, że unieśliśmy się w krainy nadziemskie — i stamtąd roztacza się przed nami widok powierzchni planety, obraz lądów, rozciętych, niby wielką cieśniną oceanów, tymi obłokami, które się zbitą masą gdzieś daleko toczą po niskiej ziemi...

* *
*

Szczyt Lalwaru ma wybitne znaczenie w życiu okolicznych mieszkańców. Nad urwiskiem znaleźliśmy tu kawałeczek przestrzeni, wciśnięty pod skałę, a z trzech stron pozostałych ogrodzony wałem, usypanym z kamieni. O skałę oparta stoi tafla kamienna z niezręcznie wyrżniętym przez domorosłego artystę wizerunkiem św. Jerzego na koniu. Cała ta przestrzeń zamknięta, ta płyta kamienna, a nawet część skały pokryta jest warstwą wosku, ściekającego od świeczek, tu i owdzie gęsto poprzylepianych, woskiem pokryte są też wszystkie poukładane tu symbole bóstwa i inne przedmioty, które przez wpływ miejsca stały się świętościami: więc zeschłe kwiaty, bukieciki, wykute z żelaza figurki, mające wyobrażać postacie ludzkie,

W ostatnich czasach istnieje dążność do zmiany na lepsze takiego stanu rzeczy. Przedsięwzięto nawet różne reformy rdzenne. „Środki te, wszakże nie dały pożądanych rezultatów, niektóre zaś wywołały wręcz przeciwne następstwa.“ Nie dość tego: niejednokrotnie różne ministerya przedsiębrały środki w stosunku do siebie wprost sprzeczne. Wszystko to wydało taki rezultat, że położenie ekonomiczne podstawowego żywiołu państwa — włościan, stawało się coraz gorszem. Ludność wzrasta, oświata zaś stoi na miejscu, ilość ust spragnionych i łaknących wzmaga się, a produkcya środków żywności maleje. Wreszcie dochodzi do tego, że ludność w swojem życiu codziennem nietylko nie może związać końców, lecz nawet przechodzi na utrzymanie skarbowe. Nieurodzaje wywołują głód: skarb państwa musi więc coraz częściej wydawać miliony, ażeby dopomódz ludności w walce z nędzą i głodem.“

Autor kładzie nacisk na tę okoliczność, że w środkach przedsiębranych przez różne ministerya niema ogólnego mianownika, którym powinno być *dobro państwa*. Ażeby ten mianownik otrzymać, jako wynik polityki państwowej, „trzeba mieć na względzie nie przodującą warstwę społeczeństwa, która może być wypadkową, lecz tę klasę lub te grupy ludności, na których daloby się oprzeć cały gmach państwowy.“ „Jakaż warstwa ludności powinna być uważana za główną, tj. taką, którą zawsze miałyby na względzie wszelkie prawa i urządzenia, czyli innemi słowy jaka jest ta barwna nić, która powinna przeplatać wszelkie gałęzie polityki państwowej?“

W różnych czasach były rozmaite w tej mierze pojęcia. Niezbyt dawno główną podstawą gmachu państwowego była szlachta. Dla niej stwarzano szkoły specyalne, czyniono jej różne ulgi i przywileje. Następnie wionął inny wiatr: opieka nad przemysłem przetwórczym i popieranie różnych gałęzi produkcyi. Wreszcie w roku bieżącym zadźwięczała jeszcze inna nuta. W budżecie państwowym na r. 1899, pomimo olbrzymiej cyfry dochodów skarbowych, na widnokręgu życia państwowego pojawiła się czarna chmurka: nieurodzaje stałe, a więc perspektywa żywienia rolników kosztem skarbu. „Poraz pierwszy, zdaje się, w tak ważnym dokumencie państwowym otwarcie zaznaczono, że dla wzmocnienia stanu finansowego i pozostającego z nim w związku postępu całego państwa, koniecznie trzeba przystąpić do rozstrzygnięcia przekazanej naszemu pokoleniu kwestyi: *ostatecznej* organizacyi społecznego i majątkowego bytu włościan.

Autor rozprawy podkreśla wyraz w dokumencie urzędowym: *ostatecznej*, i dowodzi, że oznacza on pragnienie takiej organizacyi, któraby raz na zawsze uwolniła skarb państwa od obowiązków względem ludności rolnej. Osiągnąć to można tylko w takim razie, gdy praca gospodarza wiejskiego nietylko będzie żywiła go wraz z rodziną, lecz jeszcze da pewną nadwyżkę na korzyść państwa.

Szukając rozwiązania tak ważnej i palącej kwestyi, autor sięga do historyi organizacyi społecznej w Danii i Rosyi, zaznacza to charakterystyczne zjawisko, że po każdej reformie, obwieszczającej postęp, brało górę wstecznictwo, występowała z całą brutalnością siła mroków. Zjawisko to dało się spostrzegać po uwłaszczeniu włościan, jak również po wszelkich innych reformach Aleksandra II. „Przedsięwzięto cały szereg zarządzeń w celu podtrzymania stanu majątkowego i przywilejów szlachty, zmniejszenia i skrępowania miejscowych samorządów i inicyatywy. Rzec można, iż nigdzie, w żadnem państwie szlachta nie otrzymała od rządu tak szerokiego kredytu, jak w Rosyi. Ulgi w tej mierze były tak wielkie, że prawie całkowicie szlachta przeszła na utrzymanie skarbu. Jednocześnie centralizacya dosięgła szczytu. Nietylko wielkie zarządzenia, ale nawet drobiazgi życia codziennego są dysponowane i rozsyłane z kancelaryj petersburskich. Nigdy nie było takiej obfitości cyrkularzy i rozporządzeń, jak obecnie, nigdy petersburscy „naczelnicy stołów“ nie byli tak faworyzowani. Wątpliwe, czy taki kierunek i system doprowadzą do pomyślności ekonomicznej. Życie toruje sobie nowe drogi, tymczasem każą mu kroczyć po ścieżkach papierowych. Ludzie chcą myśleć, im zaś dają ustawy normalne lub przepisy, w których przewidziano nawet granice myślenia. Za pomocą takiej tamy sztucznej, wstrzymującej na wiosnę potoki wód i zamieniającej bystre strumienie na stawy nieruchome, rutyna kancelaryjna i papier bezduszny chcą zdławić w zarodku budzące się myśli i działalność jednostek rosyjskich, a natomiast zrobić z nich powolnych wykonawców zleceń papierowych. Wątpimy jednak, azali taki stan potrwa długo. Tak samo jak masy wód przerywają tamy i rozlewają się szeroko, nowe myśli i nowe życie w Rosyi niedługo będą się mieściły w ramkach sztucznych. W jakiej postaci rozpłynie się tryumf nowych idei i do jakich następstw doprowadzi, o tem ludzie wiedzieć nie mogą: ale daj Boże, ażeby walka tych dwu wręcz przeciwnych zasad — życia i kancelaryi, praktyki i cyrkularza — doprowadziła do pomyślności naszej ojczyzny.“

Reforma z 19 lutego 1861 r. posiadała, jak zaznacza autor, pewne braki. Do włościan, uwolnionych z zależności pańszczyźnianej, zastosowano „porękę gromadzką,“ ziemię zaś oddano „gminnemu władaniu.“ Zrazu zdawało się, iż wszystko idzie pomyślnie, ale powoli zaczęły się ujawniać braki. Ziemia przy wspólnem władaniu straciła swego gospodarza, gromadne zaś poręczenie coraz bardziej krępowało lud. W gruncie rzeczy była to tylko inna postać zależności dawniejszej. Człowiek, urodzony w rodzinie włościańskiej, został skazany na dozgonne przebywanie we własnej wsi, bez względu na to, czy ma skłonność do innego życia i innej pracy. Musi on wyrabiać dowód uwalniający, za który trzeba płacić. Dawniej chłop pańszczyźniany kupował sobie wolność od obywatela, obecnie zaś musi kupować ją od własnej gminy. „Taki stan rzeczy jest nienormalnym i hamującym rozwój nietylko jednostek, ale przedsiębiorczości, twórczości i geniuszu.“

Poręka gromadzka, dezindywidualizująca ludzi, przykuwająca ich do miejsca, częstokroć bardzo niedogodnego, podcina wszelką energię i przedsiębiorczość, to jest środki niezbędne dla zdobycia lepszych warunków istnienia.

„W ostatnich latach rząd chcąc się przyczynić do szybszego rozwoju ekonomicznego Rosyi, zwrócił główną uwagę na przemysł, rozwój spraw fabrycznych i przemysłowych i dlatego ściąga rozmaitymi sposobami kapitały obce. Wielu Rosyan

---

jakieś szmatki, kokardki, blaszki, a nawet kilka monet groszowych.

Dziwnie wygląda ta skromna świątynia ludzka, nosząca tyle śladów bytności człowieka, a tak oddalona od ludzi, tak prawdziwie wyniesiona nad poziom nędznego żywota, taka tu prosta i naturalna w ciągłem prawie otoczeniu chmur, w wiecznych zapasach z wichrem, deszczem często smagana i pod całunem śnieżnym przez wiele miesięcy spoczywająca.

Jest ona w równej mierze świątynią wszystkich okolicznych mieszkańców. Raz do roku, w dniu 21 lipca, wre życie gwarne na pustym zazwyczaj wierzchołku góry. Jest to dzień święta Lalwaru: wtedy ściągają, bez względu na różnice religijne i narodowe, wszyscy, co u stóp jego mieszkając, patrzą na szczyt kształtny i błogosławią ożywcze tchnienie wiatru, który im w lecie co dnia Lalwar posyła, chłodząc skwar słońca. I widać tu wtedy Gruzinów, i Ormian ociężałych, i Greków zwinnych, co tu od wieków kilku koloniami mieszkają, i jasnemi brodami świecących Rosyan — sektantów, przybywających z odległych swych wiosek, i wreszcie ogorzałych Tatarów. Wszyscy rozkładają przywiezione z sobą zapasy i cały dzień trwają tu uczty, tańce i śpiewy, cały dzień rozlegają się dźwięki *zurny* [1]), *tari*, *czanguri* [2]), brzęk dzwonków, stuk bębenków i głośne uderzenia dłoni, któremi widzowie wybijają takt niezrównanej kaukaskiej „lezginki...“

Nie wiadomo, kto i kiedy usypał na wierzchołku góry te kamienie i co właściwie oznacza świątynia? Święto Lalwaru jest prawdopodobnie jednym z dawnych obrzędów pogańskich, jest świętem największej w okolicy góry, świętem dziwnej i niepojętej potęgi, wcielonej w postać tajemniczej istoty, co tam hen wysoko sąsiaduje z chmurami i brata się z piorunami.

I nie dziw, że czczono takiego olbrzyma, co spokojny, niewzruszony i zawsze wspaniały czuwa nieustannie nad krajem, niby ojciec troskliwy. Nawet nazwa góry, oznaczająca w przekładzie: „(tam) są drogie kamienie,“ dowodzi, że przypisywano jej własności niezwykłe. Niegdyś był tu zapewne ołtarz pogański, gdzie zbierano się na modły i składano ofiary bożyszczom; tradycya przekazała urok świętości, jakim był otoczony szczyt Lalwaru — i dotąd się on zachował...

* * *

Po krótkim odpoczynku w cieniu skał ruszyliśmy z powrotem krokiem szybkim, jakim się schodzi z góry. Konie biegły za nami, potykając się o kamienie. Niebawem mogliśmy już wsiąść na nie, aby szybko podążyć ku koczowisku. Nad wieczorem, powracając do domu, przejeżdżaliśmy przez koczowisko, w którem noc ubiegłą spędziłem. Towarzysze podróży mieli tu obejrzeć swe stada i wydać parę zleceń pastuchowi, więc musieliśmy się zatrzymać. Żona Elgudży wstała z pod szałasu i podszedłszy z oczami utkwionemi w ziemię, wręczyła mi strzelbę, którą dziś rano tu zostawiłem.

Podziękowawszy jej, zarzuciłem broń na ramię, a ona odeszła i zatrzymała się w pewnem oddaleniu, świecąc białą chusteczką ozdobnego berecika. Kiedy towarzysze się załatwili, dosiadłem konia i, gdy zawrócić go miałem na drogę, jeszcze raz na nią spojrzałem: stała bez ruchu na dawnem miejscu. Oczy się nasze spotkały, skłoniłem głowę i przyłożywszy rękę do piersi, ruszyłem wcwał za towarzyszami, którzy już byli daleko na drodze. A ona znikła mi w gąszczu leśnym — i to spojrzenie było ostatnie, bo gdzież i kiedyż ją jeszcze zobaczę?..

Wówczas puściłem wodze, koń bieg swój zwolnił i zacząłem filozofować sam z sobą na temat „nieszczęśliwych pożyć małżeńskich,“ temat odwieczny, a zawsze świeży, niewyczerpany... I jak w pięknych salonach, tak też i tu, w tej knieji leśnej tyrania egoizmu mężczyzny łamie tyle życia, tyle istot unieszczęśliwia. Wszędzie i zawsze to samo...

Głośne wołania towarzyszy wyrwały mię z zadumy: konia zachęciłem do biegu szybkiego i wkrótce ich dopędziłem. I nie spostrzegłem, kiedyśmy przebyli leśne ścieżyny i wspięli się na główną drogę, skąd lasy Hudżabskie wydawały się potężną kaskadą zieleni, spadającą ze stoków Lalwaru ku jego podnóżom, tym szeroko i daleko ścielącym się podnóżom wysokiej góry...

[1]) Dęty instrument muzyczny za Kaukazem — w rodzaju klarnetu.

[2]) Rżnięte instrumenty muzyczne.

stanęło w przeciwnym obozie: nie pragną oni oddać swojej ojczyzny w ręce cudzoziemców. Byłoby rzeczą całkiem logiczną ściągać obce kapitały wtedy, gdyby wyczerpano zupełnie wszelkie środki wewnątrz własnego kraju. Ale tak przecież nie jest. Ludność rosyjska, pogrążona w ciemnocie, nie posiada ani dostatecznej liczby szkół, ani innych środków oświaty. Przedsiębiorczość ludu skrępowana; jednostki, wychodzące z ludu, mają mnóstwo przeszkód na drodze przemysłowej. Jakże więc mogą powstawać i wzrastać kapitały?

W dalszym ciągu swych rozmyślań autor zaznacza jeszcze jedno zjawisko znamienne: socyalizm państwowy, który w ostatnich czasach znalazł zwolenników pośród ludzi wysoko wykształconych, zajmujących wybitne stanowiska w administracyi. Niektórzy, widząc braki życia ekonomicznego, szukają zbawienia w przedsięwzięciach skarbowych. Kierunek ten może być jednak bardzo ryzykownym. Ziemia będzie skarbową, koleje skarbowe, gorzelnictwo skarbowe, handel zbożem skarbowy itd. Ale cóż wtedy będą robili ludzie prywatni? Chyba staną się urzędnikami? Nasza ojczyzna pod niektórymi względami idzie zupełnie odmienną drogą. Wszystkie rządy w państwach oświeconych usiłują, o ile można, najmniej się wtrącać w sprawy handlowe i przemysłowe, poprzestając tylko na kontroli, prawodawstwie i innych środkach, starają się rozwijać i utrwalać inicyatywę i przedsiębiorczość prywatną; u nas zaś wszystko odwrotnie: skarb dąży coraz bardziej do zagarnięcia wszystkiego we własne ręce, armia zaś urzędników wzrasta nieustannie. Ale jakiż rezultat tej polityki? — Wzbogaca się rząd, ubożeje lud. Wątpimy, czy taki kierunek potrwa długo. Może się zdarzyć niespodzianie taki krach, który wywoła najcięższe następstwa.

„Jeżeli spojrzymy na całą masę ludności w państwie — mówi p. Krjukow — to się okaże, że na bezbrzeżnem morzu chłopskiem pływa pod postacią pianki nieznaczna gromadka klas wyższych. Ubóstwo umysłowe, ciemnota i wieczna nędza u dołu; światło i sytość — u góry.“ Takiej olbrzymiej różnicy między warstwami wyższemi i niższemi, zdaje się, niema w żadnem państwie europejskiem lub amerykańskiem. Różnica ta z biegiem czasu wcale się nie zaciera, lecz ciągle wzrasta, do czego, jak utrzymuje autor, przyczyniają się środki prawodawcze. Szkoła ludowa słabo się posuwa naprzód, podczas gdy wyższe kształcenie robi olbrzymie postępy. „Prawie co rok asygnowane są setki tysięcy, a nawet miliony na organizacyę wyższych zakładów naukowych, wszelkich instytutów i akademij, gdy tymczasem na szkoły ludowe idą grosze. Stąd właśnie wynika to znamienne zjawisko, że w Rosyi łatwiej można znaleźć inżeniera, niż oświeconego robotnika. Każde przedsięwzięcie praktyczne, czy to budowa, czy jakiekolwiek zabiegi rolnicze lub przemysłowe, ogromnie cierpią skutkiem ciemnoty mas robotniczych. Rosya pod tym względem zajęła wyjątkowe stanowisko. W Ameryce, Danii, Norwegii, Anglii i wszystkich jej koloniach rząd całkowicie utrzymuje szkoły ludowe, w których nauka jest obowiązkową dla wszystkich obywateli; wyższym zaś zakładom naukowym daje tylko zapomogi.

W takich samych warunkach, jak oświata, znajduje się gospodarstwo wiejskie. „Bogaty pan, wielki posiadacz ziemski, korzysta z wszelkich usług skarbu, bądź w formie ulgowego, a nawet bezpłatnego kredytu, bądź pod postacią wielu posad płatnych, zapomóg, ulg, wychowania dzieci itd.“ Zupełnie w innem położeniu jest lud włościański. Według prawa jest on niby posiadaczem, w rzeczywistości zaś nic nie może przedsiębrać bez zgody gromadzkiej. To też lud zubożał niesłychanie. „Tymczasem rząd wzbogaca się i posiada największy w świecie budżet.“

Wobec takiego stanu rzeczy p. Krjukow z wielkiem uznaniem i radością wita uwagi i wskazówki p. ministra skarbu. Lud jest głównym żywiołem organizmu państwowego, mówi autor. Otóż chcąc tym masom zapewnić pomyślny rozwój, trzeba uwzględnić trzy zasadnicze warunki: dać oświatę, znieść porękę gromadzką i wspólne władanie ziemią, czyli t. zw. „obszczyny.“ Autor przepowiada szybki upadek tej ostatniej formy. Rosya pod tym względem w stosunku do innych państw pozostała w tyle o całe stulecie. „Wspólne władanie potrzebne jest dla socyalistów, którzy chcą zdławić wszelką indywidualność i zrobić wszystkich jednakowo ubogimi. Drobny właściciel ziemski obecnie w Europie jest śmiertelnym wrogiem propagandy socyalistycznej i najpewniejszym obrońcą istniejącej organizacyi państwowej.“ Taki właśnie żywioł p. Krjukow pragnie wytworzyć w Rosyi. Zwraca on uwagę na to, że dziś wielkie obszary ziemi skarbowej leżą odłogiem i radzi je stopniowo sprzedawać działkami niewielkiemi, najwyżej po 100 dziesięcin włościanom, z warunkiem urządzania na tych działkach stałych siedzib gospodarskich.

Zająwszy takie stanowisko, autor wystąpił w końcu jako nieprzejednany wróg obcych kapitałów, które, zdaniem jego stworzyły to, że dziś $^9/_{10}$ wywozu z Rosyi pozostaje w rękach niemieckich, co właśnie utrudnia zawiązanie bezpośrednich stosunków handlowych z Anglią. Rosya powinna być dla Rosyi! To jest hasło ostateczne p. Krjukowa. Chcąc je w czyn wprowadzić, trzeba rozwinąć wszelkie zabiegi około umysłowego i ekonomicznego rozwoju włościan rosyjskich; oni bowiem mają być podstawą ustroju państwa, jego siłą a zarazem wrogami wszelkich dążności przewrotowych.

Nie możemy się wdawać w krytykę wielce znamiennych poglądów p. Krjukowa. To tylko zaznaczymy, że obok trzeźwych zapatrywań na różne urządzenia i systemy, sporo jest uprzedzeń, sporo ciasnych i stronnych poglądów. Wiele przytem zjawisk autor pominął zupełnie lub nie ocenił ich należycie.

Paweł Krzyżanowski.

Z GALICYI.

Konstytucya austryacka w teoryi i rzeczywistości.— Podniesienie podatku od piwa, wódki i cukru. — Czem będzie podatek od cukru dla ludności ubogiej? — Co robi większość w Radzie państwa i Koło polskie? — Jak wygląda polsko-czeska przyjaźń w rzeczywistości? — Kilka słów o ks. Monsignorze Świeżym.

Niejednokrotnie pisaliśmy o tem, że rząd austryacki posługuje się § 14 konstytucyi, a ponieważ i teraz zaszedł ten wypadek, przeto muszę kilka słów powiedzieć o tem, jak ów paragraf wygląda w formie drukowanej — dla wiadomości obywateli i w formie stosowanej — dla użytku obywateli.

Pozwala on rządowi działać bez porozumienia się i upoważnienia parlamentu w wypadkach nagłych, a nie wówczas tylko, kiedy Rada państwa nie jest zebraną. Nagłość ta odnosi się do gradobicia, wylewu wód, pożarów, zarazy bydła i innych klęsk elementarnych, gdy potrzebna jest pomoc natychmiastowa. Na mocy tego paragrafu rząd może wydawać rozporządzenia, które nie obciążą trwale skarbu państwa i zostaną usprawiedliwione na pierwszem posiedzeniu parlamentu. Tyle co do zasady ogólnej. Co zaś do nakładania podatków, prawo to służy wyłącznie Radzie państwa. Żaden z ministrów konstytucyjnych, żadno z ministeryów, bez względu na jego barwę polityczną i narodową, nie ośmielił się dotychczas łamać ustawy dla pokrycia swego niedołęstwa lub bezsilności. Uczynił to dopiero obecny gabinet dla lichego przywileju pozostania przy władzy.

Ową nagłość wypadków elementarnych ministeryum czesko-niemieckie, czy niemiecko-czeskie rozciągnęło do nagłości państwowej. Skutkiem tego dowolnego tłomaczenia ustawy panowie Thun i spółka, nie mogąc nic zrobić rozumem, robią — siłą. Odezwała się w nich krew dawnych mandataryuszów galicyjskich: postępują tak, jak ongi Bemaki, wysyłani z Czech i Moraw na cywilizowanie Galicyi.

Ponieważ państwo potrzebuje pieniędzy, postanowili wyssać 100 milionów złr. od swoich poddanych. Ponieważ jednak bogaci dać nie chcą i potrafią się bronić, przeto zdecydowali się odebrać te pieniądze od najuboższych, zwykle bezsilnych. W d. 20 lipca wyszedł ordynans cesarski bez uchwały parlamentu, który zmienił austryacko-węgierską taryfę celną i podniósł podatek od wódki, piwa i cukru. Taki sposób postępowania nietylko jest pogwałceniem konstytucyi, ale nową krzywdą, wyrządzoną ludom i krajom austryackim. Państwa rozumne i uczciwe dbają o to, ażeby produkty niezbędnego spożycia dla ludności ubogiej były jak najniżej opodatkowane, a u nas robi się odwrotnie: podatek konsumcyjny wyszrubowywą się do niemożliwej wysokości, bo wszyscy ludzie, nawet w Austryi, jeść i pić muszą. Skutkiem tego Galicya, pozbawiona przemysłu fabrycznego, narażona corocznie na wylewy rzek, wytwarzająca mało materyałów surowych, ubożeje coraz bardziej. Należy dodać do tego, że posiadamy, skutkiem konfiguracyi kraju, długie linie kolejowe, że opłacamy taryfę przewozową i pasażerską blizko o 40% wyższą, niż Węgry; że dla nowozakładających się fabryk nietylko nie mamy ulg, gdy na Węgrzech są one wolne od podatku lub opłacają minimalny przez kilka lat, ale c. k. Dyrekcya finansowa z Korytowskim na czele zamorduje każdą małą fabrykę podatkiem od dochodu, na który długo czekać trzeba; że nasze galicyjskie taryfy transitowe dla zboża i bydła zagranicznego są niższe, niż dla miejscowego; że departament kontroli zdrowia zwierząt, przeznaczonych na wywóz, zamyka granice krajów poszczególnych dla podwyższenia lub zniżenia cen na rynkach wiedeńskich — łatwo zrozumiemy, że nowe podatki są dla nas nowym ciosem ekonomicznym z ręki— przyjaciół.

Przy znanej nędzy ludu galicyjskiego olbrzymia jego większość będzie musiała jeszcze bardziej uszczuplić swoje wydatki na wyżywienie. Pomijam wódkę i piwo, bo u nas, zwłaszcza to ostatnie, długo będzie musiało należeć do trunków zbytkowych; ale cukier! Ludność wiejska spożywa go mało, teraz będzie spożywać jeszcze mniej, gdyż podatek podniesiono o 50%; natomiast ludność miejska, robotnicza, już się bez niego obejść nie może. Trochę lichego mleka, surogaty i cukier odgrywają ważną rolę w jej wyżywieniu. Obliczono, że kilogram cukru będzie obecnie kosztował 48—50 centów, czyli zwyżka wydatków na cukier jedynie wyniesie w najuboższej rodzinie 9—12 złr. rocznie. Zbytecznem byłoby się rozwodzić nad tem nowem zdzierstwem, zauważymy tylko, że to samo ministeryum, które z taką bezczelnością rabuje najuboższą część ludności z okruchów jej pożywienia i pracy, otacza opieką fabrykantów cukru, płacąc im premie wywozowe. Dzięki tej opiece kilogram cukru austryackiego kosztuje na rynkach angielskich 20 centów i służy do tuczenia świń, we Lwowie 48, a na prowincyi 50 centów.

Jaka jest wartość ekonomicznych zasad takich ministrów skarbu, jak dr. Kaizl, od-

gadnąć łatwo. Czesi, czy w ministeryum Thuna, czy po za obrębem jego, niby walczą z Niemcami, a faktycznie nietylko idą z nimi ręka w rękę, lecz ich nawet wspierają tak samo, jak wspierali za czasów Metternichów i Schmerlingów. Przecież dr. Kaizl, który się ma za Czecha, swoim nic zaszkodził, a Niemcom dogodził.

Cóż robi większość, za której plecami Thun-Kaizl majstrują sobie w najlepsze koło kieszeni „wiernych i ukochanych Galicyan"? Co robi Koło polskie i jego szanowny prezes Jaworski? Koło ciągle myśli o ratowaniu Austryi, o jej stanowisku państwowem, o jej całości, za co wdzięczny Kaizl wyładowywa polskimi groszami pusty skarbiec wiedeński. Doprawdy, trudno o tragiczniejsze położenie, niż obecne w Galicyi: u góry klika, wyławiająca urzędy, schlebiająca rządowi za wszelką cenę, u dołu bezbronna nędza, wyzyskiwana do niemożliwości, miotająca się w bezsilnych rzutach; klika, zawierająca sojusze na ślepo, dla własnej wygody, zamykająca oczy na rujnujący system polityczny, stosowany przez ludzi bez wybitnych cech narodowych, u dołu — całe społeczeństwo galicyjskie, narażone na wyzysk.

Wskazywałem niejednokrotnie na wrogie wprost stanowisko Czechów względem Polaków, szczególnie tam, gdzie się stykają na kresach etnograficznych. Dość czytać to, co się dzieje w księstwie Cieszyńskiem, gdzie Czesi są gorsi od Niemców i jakkolwiek posiadają mniejszość śmiesznie małą, ale dzięki uprzywilejowanemu swemu stanowisku, bądź w urzędzie, szkole, kościele, bądź w przemyśle, gwałcą prawa narodowe i konstytucyę, ciągnąc całą ludność robotniczą ku czeszczyznie tak samo, jak przed trzydziestu kilku laty ciągnęli ku niemczyźnie. Przecież o tych krzywdach wiedzą panowie Młodo-czesi, wychylający tak dzielnie kielichy i wznoszący toasty na cześć polsko-czeskiej przyjaźni. Osobliwa przyjaźń! Polega ona na tem, ażeby jeden drugiemu odebrał język i narodowość. Marzenia o całości korony św. Wacława popchnęły ich całą siłą do czechizacyi księstwa Opawskiego i Cieszyńskiego. Z Opawskiem, gdzie ludność była mieszaną, łatwo sobie dali radę; w ks. Cieszyńskiem, gdzie stanowią niemal tak drobny procent, jak Żydzi, rozpoczęli walkę. Właściwie są oni tu najnowszym żywiołem napływowym, bo zjawili się dopiero z chwilą rozwoju przemysłu kopalnianego. Przybyli jako inżenierowie, sztygarowie, robotnicy. Dzięki też przeważnemu stanowisku w przemyśle kopalnianym, gdzie kapitalistą jest Niemiec obojętny, kierownikiem agitator Czech, a robotnikiem bezbronny Polak, zakłócili spokój wewnętrzny całego kraju. Śród polskiego ludu opanowali na rzecz swego języka i narodowości kościół, zarząd gminny, szkołę, pozakładali swoje besedy, spółki handlowe. Kto nie umie po czesku, musi przynajmniej udawać, bo inaczej nie dostanie zarobku. Groźbą utraty chleba, karami na tych, którzy po czesku mówić nie chcą lub do szkoły czeskiej dzieci nie posyłają, zdołali nawet śród obojętnych lub słabych wytworzyć pomiędzy ludnością rdzennie polską swoje stronnictwo. Jeżeli jeszcze w jakim kościele utrzymał się ksiądz Polak, to go nasi bracia i przyjaciele tak długo nękać będą oszczerstwem, dopóki nie przerobią go lub nie usuną. Doszło do tego, że rozpoczynają się poprostu walki uliczne i karczemne na pięści — tak daleko przyjaźń nasza na gruncie rzeczywistości postąpiła.

Czesi wprowadzili do naszych stosunków szląskich przekupstwo, a nawet odstępstwo narodowe, pozyskawszy kilka jednostek o niewyraźnej barwie politycznej. Do takich frantów należy Monsignor ks. Świeży, prezes Macierzy polskiej i poseł do Rady państwa. Niema tygodnia, ażeby pisma nie przyniosły o nim upokarzających wiadomości, ale on, jak prawdziwy jezuicki polityk, na zarzuty nie odpowiada, a swoje robi. Niedawno wysłano ze Szląska deputacyę do biskupa Koppa, znanego germanizatora, z prośbą o usunięcie z kościołów polskiego kazania i modlitw, a na czele tej *czeskiej* deputacyi stał właśnie Monsignor ks. Świeży, poseł wybrany przez ludność polską. Tylko nienormalne warunki życia politycznego mogą wysunąć na czoło społeczeństwa takie figury. A jednak to dopiero początek następstw tej polsko-czeskiej zgody, czy ugody *).

Cho.

OSADNICTWO POLSKIE W BRAZYLII

I JEGO STAN DZISIEJSZY.

Rzut oka na jego dzieje. — Dzisiejsze rozmieszczenie.

We wrześniu 1869 roku wylądowało w porcie Itajahy brazylijskiego stanu Santa Catharina szesnaście rodzin polskich z Górnego Szląska. Przewieziono je do państwowej kolonii Buesque nad rzeką Itajaha i osiedlono na szesnastu działach.

Okolica ta, oddalona o trzy godziny od miasta Aques Claras, leżała wśród odwiecznych puszcz, zamieszkiwanych tylko przez drapieżne zwierzęta i dzikich Botokudów. Działki, oddane Polakom, miały już poprzednio właścicieli. Osadzono na nich szesnaście rodzin irlandzkich. Ale położenie było zbyt niebezpiecznem, praca zbyt uciążliwą i Irlandczycy woleli wrócić do Europy.

Polacy, zająwszy ich miejsce, przeszli przez szereg utrapień. Pamiętali, że kilku ich rodaków z państwa pruskiego, zajmujących się handlem w miastach brazylijskich, pisało im o stanie Parana, jako bardzo odpowiednim dla nich. Wysłali więc dwóch delegatów do najpopularniejszego ziomka, Edwarda Saporskiego w Kurytybie, z prośbą o wskazanie drogi i środków celem dostania się do Parany.

Szczęściem parański rząd prowincyonalny wyznaczył był właśnie 50 *contos de reis* na ściągnięcie kolonistów z sąsiednich prowincyj. Dwaj polscy delegaci zastali Saporskiego i dzięki zabiegom jego, jako też Augustyna Machady, proboszcza w Kurytybie, osadnicy polscy uzyskali wolny przejazd z Buesque do Kurytyby. Pod koniec września 1871 r. stanęły rodziny szląskie u upragnionego celu. W mieście parańskiem zastały nowych piętnaście rodzin z tejże dzielnicy, co one, razem więc było wszystkich Polaków około stu sześćdziesięciu.

Tymczasem nastąpiła w Paranie zmiana prezydenta i nowy dostojnik, dr. Venancio Lisboa, pobudzony przez pewne osobistości, był nieprzyjaźnie usposobiony względem Polaków. Nie dał im działów, ani grosza na życie. Saporski z własnej kieszeni opędzał przez parę dni wydatki biedaków, aż wreszcie niektórzy zacni Brazylijczycy zajęli się kolonistami. Członek municypalnej izby kurytybskiej, Aurelio dos Campos, sprzyjał im szczerze. Za jego pośrednictwem koloniści otrzymali od izby pracę i nareszcie ziemię.

Część ich znalazła dobrze płatną robotę przy drodze Mątto Grosso, i tak skończyły się ich cierpienia.

Ta trzydziestka rodzin szląskich stanowi zawiązek polskiej kolonizacyi w Brazylii. Jej wędrówki, jej dolegliwości przeszły niepostrzeżenie dla społeczeństwa naszego. Kiedyś, gdy żywioł polski zajmie odpowiednią rolę w zjednoczonych stanach Brazylii, kto wie, czy nie będzie obchodzić rocznicy wylądowania owych stu kilkudziesięciu włościan. Taka chwila może istotnie nadejść.

Bo z każdym rokiem przypływają nowe rodziny polskie do ziemi brazylijskiej. Grupują się najpierw w jednym stanie, potem wchodzą w drugi i dziś wielki szmat południowo-wschodniej Brazylii usiany jest osadami polskiemi. Do rozwoju muszą im pomódz także rodacy europejscy; emigracyę należy ująć w pewne łożyska, kolonistom potrzeba dostarczyć inteligencyi i użyczyć pokarmu duchowego. Materyału zaś do urobienia społeczeństwa jest tam pod dostatkiem.

Nim przejdę do materyalnego i umysłowego stanu osadników polskich w Brazylii, dam krótki rys historyi osadnictwa i obraz rozmieszczenia żywiołu polskiego.

W dwa lata po osiedleniu się pierwszych kolonistów przybyło do Kurytyby (wrzesień 1873) sześćdziesiąt cztery nowych rodzin polskich. Razem liczyły 250 osób. Dano im grunta tuż pod Kurytybą, miejscowość otrzymała nazwę Colonia Abrenches, na cześć ówczesnego prezydenta, życzliwie usposobionego dla Polaków. Osadnicy z Abranches pochodzą prawie wszyscy z Prus zachodnich.

W r. 1876 pod ojcowskimi rządami prezydenta Lamenhy Linsa założono siedem kolonij polskich w obwodzie kurytybskim na gruntach, które państwo wykupiło z rąk prywatnych. Nazwy ich brzmią: St. Ignacio, Orleans, Dom Pedro, Rivierre, Dom Augusto, Tomasz Coelho i Santa Candid. Obejmują przestrzeń 5,187 hektarów z 765 działami kolonizacyjnymi i żywią dziś ludność pięciotysięczną. Pierwsze pięć kolonij tworzy jedną parafię Nowa Polonia, z kościołem i probostwem w Orleanie. Proboszczem był tam do roku 1896 Ludwik Przytarski, który przybył do Parany w r. 1877.

Najważniejszą jednak i najbogatszą osadą koło Kurytyby jest Tomasz Coelho, oddalony o siedemnaście kilometrów od miasta i leżący przy drodze do Lapy. Koloniści pochodzą prawie wszyscy z Galicyi; są oni — jak zaświadcza profesor Józef Siemiradzki — bardzo oszczędni i skromni; wszystkim powodzi się dobrze. Osada dostarcza większej części żywności i produktów miastu Kurytybie. Polacy dowożą codzień do tego miasta żyto, kukurudzę, fasolę, owies, pszenicę, grykę, kartofle, cebulę i różne jarzyny: dalej jaja, kury, gęsi, masło, ser, słoninę siano i słomę, jakoteż drzewo opałowe i budulec.

Wielka ta wieś należy do probostwa Ignassa, którem zawiaduje dziś Polak, ks. F. Soja, przybyły do Brazylii w 1886. Zresztą ma osobnego wikaryusza polskiego w osobie Kazimierza Andrzejowskiego; mieszka on przy kościele, który zbudowali koloniści własnym kosztem.

Następcy prezydenta Lamenhy sprzyjali więcej kolonizacyi włoskiej. Polscy emigranci, którzy w tym czasie przybyli do Parany, osiedlili się na własny koszt kolo Kurytyby. Lecz w latach 1885—7, po niekorzystnym wyniku osadnictwa włoskiego koło Moretes i Antoniny, usposobienie rządu znów zmieniło się. Prezydenci Carvalho, Lantas, Faria, a zwłaszcza Faunay założyli kolonie polskie: Antonio Prado, Presidente Faria, Zacharias, Muricy, Inspektor Carvalho, Accioli, Joao Alfredo, S. Lorenço. Zajmują one 4,700 hektarów, podzielonych na 425 części.

---

*) Nie ulega wątpliwości, że postępowanie Czechów na Szląsku i wogóle tam, gdzie bodaj najmniejszym klinem wbili się w pień ludności polskiej, jest naccechowane ślepym egoizmem; ale ponownie musimy zaznaczyć, że szan. nasz korespondent zbyt jednostronnie czyni ich winowajcami wszystkich krzywd i klęsk ludu galicyjskiego. Źródłem złego nie jest przyjaźń polsko-czeska, ale samolubstwo kohorty rządzącej Galicyą... Gdyby inne żywioły znalazły się u jej steru, owa przyjaźń miałaby inne podstawy, wydałaby inne owoce. *Red.*

Już te osady oddalają się od Kurytyby. Jedynie dwie pierwsze należą do jej okręgu, następne cztery otaczają położone na południu miasto St. Jose. Dwie ostatnie zaś leżą dobry kawał drogi ku południowemu zachodowi, przy Rio Negro. W linii prostej od Kurytyby ku zachodowi, osiem kilometrów od miasteczka Campo Largo, Faunay założył kolonie Christina i Alica, Osiedli w nich wychodźcy z Górnego Szląska i zachodnich Prus, razem w liczbie 322 osób na 498 hektarach.

Mniej więcej w tym samym czasie powstało osiem osad polskich koło Ponto Grosso. Znajdują się one już w znacznej odległości od Kurytyby i są posunięte ku północy. Tu kolonistom dano większe parcele pastwisk, aby prócz rolnictwa mogli oddać się hodowli bydła. Lasy Capaos dostarczyły im drzewa. W roku 1896 było na 26,621 hektarach, dzielących się na 319 parcel, 760 osób.

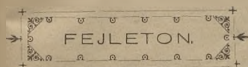
W niedalekiem municypium Castro założono kolonie Santa Leopoldina i Santa Clara, które mają razem 720 hektarów z 81 parcelami i polską ludnością o 220 duszach.

Można więc rzec, że już w r. 1888 Polacy otoczyli półkręgiem Kurytybę.

W latach 1890—92 napływ Polaków do Brazylii był najsilniejszy. Fala płynęła głównie z Królestwa. W pamięci wszystkich tkwi żywe zajęcie się ówczesnego ogółu sprawą dotąd prawie nieuwzględnioną. Przyniosło ono wielką korzyść wychodźtwu brazylijskiemu. Jednostki, pełne dobrych chęci i uzdolnień, zabrały się do studyowania warunków emigracyi, a zabiegi ich usunęły niejedną wadliwość w przewozie emigrantów, w ich organizowaniu i osiedlaniu. W tej też porze ukuto pierwsze prawdziwe mocne ogniwa między krajem macierzystym i wychodźcami, a ogniwa te z biegiem lat nietylko nie wątleją, lecz stają się coraz hartowniejszemi.

(D. n.).

W. Bugiel.



PAMIĘTNIK

Ustalenie zasady.

G... *sądowa* podała wyrok Senatu, który rozstrzyga często zdarzającą się wątpliwość kalendarzową. Mianowicie jeden z warszawskich sędziów pokoju, rozpoznając sprawę umowy prywatnej, spisanej w języku polskim, bez opłaty stempla, skazał obie strony na karę kontrawencyjną. Toż samo uczynił w drodze apelacyi Zjazd. Zaskarżono oba te wyroki do Senatu na tej zasadzie, że ponieważ umowa nosiła datę 17 maja 1896 r., a pod tą datą według zwyczaju miejscowego należy rozumieć powszechnie używany styl nowy, przeto kara kontrawencyjna podlega umorzeniu z mocy Najwyższego Manifestu, wydanego 14 (26) maja 1896 r. Otóż Senat uwzględnił ten motyw skargi, rozumując, że Zjazd nie wskazał podstawy, na której oparł swoje domniemania, iż data użyta była według dawnego stylu, podczas gdy nowy w guberniach Królestwa Polskiego jest uznany. Skutkiem tego orzeczenia Zjazd przy ponownem sądzeniu sprawy oba poprzednie wyroki uchylił.

Wodociągi lubelskie.

Czytelnicy przypominają sobie spór, który odbił się echem i w naszem piśmie, o wodociągi lubelskie, a właściwie o wodę, którą przedsiębiorca, inżenier Weisblat, czerpać dla nich będzie ze studzien w zakażonym gruncie wykopanych, a którą wiele głosów uznało za szkodliwą. O tym przedmiocie odzywał się w *Warsz. Dzienniku* p. N. Krysztofowicz, geolog petersburski, który na miejscu prowadził badania. Według niego obecny zbiornik, mający dostarczać Lublinowi wody, jest niebezpieczny, jako położony w ziemi zanieczyszczonej i sąsiadujący ze starymi cmentarzami. „Sądzę — powiada p. K. — że lepiej, nie tracąc czasu, porzucić wykopane przez p. Weisblata studnie, odsunąć się dalej od ich groźnych sąsiedztw, przenieść gdzieindziej maszyny i sprowadzić wodę z innego punktu.“

Sądzimy, że jeśli tak się rzecz ma, zamiast rady, która może być spełnioną lub nie, powinien wystąpić nakaz, któryby zabezpieczył dziesiątki tysięcy ludzi od trucia się złą wodą i od padania ofiarą szerzonych przez nią epidemij.

Jest w tej sprawie jeden szczegół wysoce znamienny, a trudny do pojęcia. Jak wiadomo skądinąd i jak stwierdza p. K., wodociągi lubelskie były budowane w sposób całkiem przeciwny zwykłej metodzie postępowania w podobnych przedsięwzięciach. Mianowicie, naprzód się oznacza źródło wody, a potem zakłada się rury i stawia maszyny. Tymczasem w Lublinie zrobiono odwrotnie: naprzód ułożono rury, a potem zaczęto szukać wody. Byłoby to bardzo zabawne, gdyby nie było smutne. Że taka odwrotna metoda mogła być wygodniejszą dla koncesyonaryusza — przypuszczamy: ale jak mógł na nią zgodzić się zarząd miejski, który zawierał z nim umowę — tego odgadnąć niepodobna. W Krakowie przez całe lata poszukiwano w okolicy zbiornika wody, zanim przystąpiono do budowy wodociągów, a Lublin tak sobie zbagatelizował tę sprawę, jak gdyby mu chodziło tylko o przyjemność i chwałę rur zakopanych w mieście. Dziwy, dziwy!

Spółka rybacka.

Z krajowego materyału, krajowym klejem zlepiona Spółka rybacka rozlała się. Tak przynajmniej zapewnia p. Juszyński w *Rolniku i hodowcy.* Z 59 pierwotnie zapisanych uczestników stanęło do aktu rejentalnego zaledwie 32, reszta zrzekłszy się wniesionych zaliczek na udziały—uciekła. Nie dość tego. Owo uszczuplone ciało jest ciągle wątłe, chore i bezczynne, gdyż nie może dotąd złożyć 45,000 rb., bez których nie wolno mu rozpocząć swej działalności. Trwa to już od kilku miesięcy i trwać będzie dopóty, dopóki zniechęceni, wycofawszy swoje wkłady, nie zemkną. Bo w obecnem położeniu innego wyjścia niema. A przecież najprostsza, wszelkie niepowodzenie wyłączająca rachuba wskazuje jasno, że w kraju, w którym jest tyle gospodarstw rybnych i który takiej masy ryb potrzebuje, rozumnie zorganizowana i umiejętnie prowadzona spółka dla tego produktu mogłaby się świetnie rozwinąć z wielką korzyścią dla hodowców i spożywców. P. Juszyński szczegółowo krytykuje obecny ustrój i pierwsze ruchy poronionej spółki. Nie możemy powtórzyć wszystkich jego uwag, podnosimy tylko jeden zarzut, który nam się wydaje najważniejszym, mianowicie braku sprężystej siły administracyjno-handlowej. Wykazywaliśmy to dawniej i stwierdzamy dzisiaj, że jeżeli spółka rybacka nie oprze się na podstawie kupieckiej, jeżeli jej stera nie ujmą w ręce ludzie, posiadający energię, rozum praktyczny, znajomość warunków działania — niech lepiej nie marnują swoich dobrych chęci i środków. To nie parlamencik, nie zbiorek urzędów i tytułów, nie towarzyska sielanka, lecz bardzo prozaiczny przemysłowo-handlowy interes, który tylko kupiecką głową i kupiecką drogą może być należycie poprowadzony. Nie każdy, kto chce, może to zrobić, ale każdy może i powinien zrzec się swoich ambicyj i złudzeń dla dobra gromady i jej celów.

Pończocha lub lichwa.

Dwa wyrazy w powyższym tytuliku oznaczają dwa biegnny osi, na której się obraca nasz swojski kapitalizm: albo chowamy pieniądze bezczynnie, co najwyżej zamieniwszy je na papiery procentowe, albo rzucamy je w spekulacye, z których ściągnąć można grube odsetki. Tramwaje, pewne fabryki, statki parowe mogą przynieść 6 do 10% — to dla pończochy za niebezpiecznie, a dla lichwy za mało. Lombard, handel placami lub domami, totalizator — to interesy. Nie też dziwnego, że gdy hr. Zamojski uzyskał koncesyę na kolej Tomaszowską, nie mógł znaleźć akcyonaryuszów pomiędzy tymi, którzy zbudowali sobie w Warszawie skromny klubik myśliwski za 200,000 rb. (budowniczy francuski, meble angielskie) i znalazł pomoc aż w Moskwie u L. S. Polakowa, który włożył w to przedsiębiorstwo 1_2 miliona rubli, tj. akurat tyle, ile wymaga ustawa nadawcza owej kolei. „Wchodząc w stosunki finansowe z p. Polakowem — pisze *Kuryer warsz.* — hr. Zamojski zastrzegł i otrzymał wzajemne przyrzeczenie, że budowa kolei, a potem wprowadzenie jej w ruch i eksploatacya dopełnione będą przy pomocy sił wyłącznie krajowych tak pod względem personelu technicznego, jak robotniczego i urzędniczego.“ Naprzód — z przeproszeniem — nie wierzymy temu zapewnieniu; powtóre p. L. S. Polakow miałby zupełną racyę złośliwie na nie się uśmiechnąć, potrzecie, dajmy raz pokój tym blagierskim cukierkom, wystarczającym dla uspokojenia zatrwożonych dzieci.

Współcześnie „siły krajowe“ otrzymały inną pociechę. Buduje się kolejka wązkotorowa z Jabłonny przez Warszawę do Wawra. I tu ani swojska pończocha, ani swojska lichwa, ani swojski zbytek nie mogły się zdecydować na udział w przedsiębiorstwie, tak iż podobno właściciele koncesyi musieli sprowadzić sobie kapitały z zagranicy, które takimi interesami nie gardzą. A my znowu cieszyć się będziemy, widząc niemiecki lub francuski wóz i niemieckiego lub francuskiego furmana, że w zaprzęgu ciągną „krajowe“ szkapy. Jak nam niewiele do szczęścia potrzeba!

Filharmonia warszawska.

Może cudzoziemiec nie uwierzyłby, że społeczeństwo ubogie i nierzutkie w najprostszych i najkonieczniejszych sprawach, zdecyduje się szybko na kosztowną instytucyę artystyczną, której nie wymagają potrzeby codziennego życia i która nie obiecuje zysków materyalnych. Dla nas jednak, którzy wiemy, jak trudno zdobyć bilety na koncerty a jak łatwo nad odczyty, jak dużo jest fortepianów a jak mało biblioteczek domowych, było to niewątpliwem, że „Filharmonia warszawska“ otworzy kieszenie i serca. Obu tych zadań dokonała szybko i szczęśliwie. Powstało towarzystwo akcyjne z kapitałem *pół miliona rubli,* które zbuduje sobie własny gmach, a w tym gmachu uprawiać będzie wszelkie rodzaje poważnej muzyki. Pomimo uważnego wczytania się w ustawę, nie mogliśmy odgadnąć, czem właściwie Filharmonia ma się różnić zasadniczo od istniejącego Towarzystwa Muzycznego? Będzie miała swój dom, odpowiednio urządzone sale, orkiestrę, dożywotnie fotele dla członków założycieli, będzie urządzała tanie koncerty, „podnosiła poziom artystyczny“ i „popierała twórczość“ — ale czemu tego wszystkiego nie mogłoby robić Towarzystwo Muzyczne? Przeszkadzała mu ustawa? Można ją było zmienić. Nie posiadało środków? Można je było zebrać w ten sam sposób. To też obawiamy się, czy te dwie instytucye nie będą dwoma kubłami, z których jeden opada w studnię, gdy drugi podnosi się do góry.

Hotel Lambert

Wielu czytelników słyszało zapewnie o Hotelu Lambert w Paryżu, który był szkołą średnią dla panien polskich. Otworzony w tym celu przed pół wiekiem przez ks. Adamową Czartoryską, później utrzymywany przez hr. Działyńską, obecnie po jej śmierci został zamknięty. Świeżo właśnie odbył się ostatni akt uroczysty, na którym wzruszone uczenice i ich przewodnicy pożegnali siebie i zakład. Nie przeczymy, że chwila ta mogła rozrzewnić zgromadzonych, że Hotel Lambert położył w ciągu swego istnienia pewne zasługi wychowawcze, ale z drugiej strony wyznać trzeba, że on już dziś był anachronizmem. We Francyi już się nie zbiera emigracya polska dawnego pochodzenia, przebywająca zaś tam kolonia ma inne potrzeby, a dla panien naszych, nawet szlacheckich, niewielką wartość posiadała szkoła, uprawiająca ogładę umysłową i towarzyską, kształcąca dobrze ułożone dyletantki. Zmieniły się stosunki, poglądy i wymagania co do kobiety, zmieniły się radykalnie pojęcia o jej zadaniach i celach — Hotel Lambert już nie mógłby jej dać ani szczęścia, ani wiedzy, ani znajomości obowiązków. Gdyby znalazł nową opiekunkę po śmierci hr. Działyńskiej, mógłby istnieć jako instytucya dobroczynna, ale nie wychowawcza w nowoczesnem rozumieniu tego wyrazu.

Fałszerstwa literackie.

Niedawno L. Meyet poprawnem wydaniem „Listów“ Słowackiego wykazał, jak to niedbale ogłaszane są u nas cenne korespondencye znakomitych ludzi. Odczytywanie rękopisów pobieżne, korekta licha, a często samowolne wstawki, zmiany lub skrócenia. Zdaje się wszakże, iż najdalej w tym kierunku poszedł M. Karasowski z listami Chopina. Przerabiał je dowolnie, opuszczał lub dodawał zdania i wyrazy, kładł na nich niemożliwe daty, słowem postępował sobie tak, jak gdyby tworzył Chopina i jego korespondencyę. Czytając zestawienie oryginałów z przeróbkami, dokonane przez p. F. Hosicka w *Bibliotece warszawskiej*, trudno uwierzyć w te dowody samowoli i lekkomyślności. Przedewszystkiem lekkomyślności. Bo nieraz daremnie pytamy, czemu np. ów biograf Chopina stawiał zmyśloną datę, kiedy miał na liście rzeczywistą, odciśniętą stęplem pocztowym? Zauważyć przytem trzeba, że owe przekształcenia zatarły wiele znamiennych rysów genialnego muzyka, które dostrzegamy dopiero teraz dzięki przywróceniu przez p. Hosicka prawdziwego tekstu bilecików, pisywanych do przyjaciela, Fontany. Są one bardzo ciekawe i w wielu szczegółach bardzo wymowne! Pochodzą bowiem z tej epoki, kiedy Chopin przemieszkiwał z Sandową w Nohant.

BADANIA NAUKOWE.

PRZYCZYNKI DO PRAHISTORYI POLSKI.

I. Pomorze.

Mówiąc o przeszłości, mimowoli przenosimy do ubiegłych czasów stosunki, właściwe naszej epoce dzisiejszej, a przynajmniej ujawniamy pewną dążność w tym kierunku. Wszakże okresy wcześniejsze musiały być całkiem odmienne od tego, co w chwili obecnej mamy przed oczyma chociażby dlatego, iż zaludnienie krajów było zgoła inne, o wiele mniejsze. Dawny Rzym wydaje się nam mocarstwem olbrzymiem, z którem może żadne z państw tegoczesnych mierzyć się nie zdoła. Przynajmniej takie wrażenie wynosimy z rozczytywania się w jego wojnach, z unaoczniania sobie jego rozległości itd. Ale kiedy uwagę naszą zwrócimy na liczbę jego mieszkańców i porównamy ją z odpowiedniemi cyframi narodów europejskich — obraz się zmieni. Wobec poszukiwań nowszych nie ulega wątpliwości, iż to mocarstwo, w okresie największej swojej potęgi, nigdy nie liczyło więcej nad 50—55 milionów mieszkańców. Przecież dzisiaj Niemcy posiadają taką liczbę poddanych, przytem zgromadzonych na stosunkowo nieznacznem terytoryum, zamiast jak w cesarstwie rzymskiem na olbrzymiej, przestrzeni! Dodajmy, że rozporządzają one lepszymi środkami komunikacyjnymi i możnością zaopatrzenia znacznych mas ludzkich na tem samem miejscu, wyżywienia ich i przerzucenia na inne. Ostatecznie, potęga niemiecka w chwili dzisiejszej jest większą, niż Rzymu podczas jego wielkości.

Pracując nad ukształtowaniem się stosunków społecznych w fazie przedpaństwowej, o ile można usiłuję wyrazić je w formie liczbowej. Między innemi wciągnąłem w zakres studyów i pierwotną Słowiańszczyznę, a więc i Polskę. Nastręcza się pytanie: jak wielkie były rozmiary naszego kraju, a raczej narodu, w chwili, gdy ukazywał się na widowni dziejowej? Poszukiwania te nie są jeszcze doprowadzone do końca, ale posunęły się o tyle, iż można wskazać granice, po za które cyfra członków pierwotnej Polski nie przechodziła. Postaram się zaznajomić czytelników *Prawdy* z otrzymanymi wynikami, z góry jednak muszę zastrzedz, iż w poniżej podanych wyliczeniach tkwi bardzo wielka dowolność, tak wielka, iż rzeczywistość mogła być znacznie odmienną od tego, co otrzymałem w swoim obrachunku. W każdym jednak razie moja liczba, jakkolwiek bardzo różna od istotnej, przecież jest tylko błędem względnym i ostatecznie wskaże stosunek przeszłości do teraźniejszości i wyznaczy ilościowy punkt wyjścia naszego dziejowego rozwoju.

Pomorze za czasów Bolesława Wielkiego dostarcza mi głównego punktu oparcia. Kroniki, mianowicie Herborda, zachowały drobiazgową opowieść o apostolstwie bis. Ottona Bamberskiego, wysłanego tam przez Bolesława, a z danych w nich zawartych można z pewnem przybliżeniem odbudować zaludnienie tego szczepu słowiańskiego, tak potężnego na owe czasy, z którem tyle ów król walczyć musiał.

Kronikarz przedstawia Pomorze jako raj. Z opisu jego, niewątpliwie przesadzonego, możemy przecież wyrobić sobie pojęcie o źródłach utrzymania ludności. Powiada on, iż w kraju tym istnieje nieprawdopodobna obfitość ryb zarówno morskich, jak w rzekach, jeziorach i stawach: jest mnóstwo zwierzyny, a więc jeleni, saren, niedźwiedzi, dzików itd.; nadto posiadają Pomorzanie mleko od owiec, masło od krów, a tłuszcz z baranów i kóz; mają wreszcie obfitość miodu i pszenicy oraz konopi. „Niema kraju z lepszemi łąkami i paśnikami.“ Możemy więc wnioskować, iż Pomorzanie głównie utrzymywali się z rybołowstwa i hodowli zwierząt, przyczem myśliwstwo stanowiło bardzo ważne źródło zarobkowe, a bartnictwo odznaczało się także znacznym rozwojem; co zaś do rolnictwa, rozmiary jego nie mogły być rozległe w porównaniu z naszymi czasami i wśród źródeł utrzymania zajmowało ono stanowisko najniższe, przynajmniej kronikarz zawsze mieści je na ostatku, przedewszystkiem podziwiając obfitość ryb i zwierzyny. Wreszcie i łupiestwo należało do liczby częstych zarobków, prawdopodobnie połączone z handlem morskim. W zupełnej zgodzie z tym obrazem znajduje się rozmieszczenie grodów. Bis. Otto objeżdża Pomorze wzdłuż i wszerz, o ile o szerokości może być mowa. Wszystkie grody z małym wyjątkiem leżą na wybrzeżu, przyczem główne ogniska ludności i życia skupiają się przy ujściu Odry i nad wschodniem wybrzeżem zatoki, do której ta rzeka wlewa swoje wody. Pomorzanie tutaj głównie ześrodkowali się, żyjąc z rybołowstwa, trzymając trzody, trudniąc się myśliwstwem, chodząc w lasy jako bartnicy i posiadając niewielkie pólka zboża, oraz konopi. Tu leży Szczecin, „najstarsze i najprzedniejsze miasto,“ „niezmierne miasto,“ posiadające aż cztery kontyny, wówczas gdy inne miały po jednej, „macierz miast,“ słowem Paryż lub Londyn Pomorza. Tam także znajduje się Julin, „miasto duże i silne,“ ale skromne wobec Szczecina.

Przyjrzyjmy się rozmiarom tych miast, a przynajmniej Szczecina, co do którego istnieją w kronice pewne wskazówki dokładniejsze.

Szczecin zawiera w murach swoich aż 900 ojców rodzin. Liczebność tych rodzin nie mogła być znaczna, gdyż na Pomorzu istniało dzieciobójstwo; mamy o niem wzmianki i w Szczecinie i w Kaminie, przyczem podany jest powód zabijania niemowląt. Matka morduje dziecko, ażeby inne odchować. Kto jest obeznany z danemi etnografii, z tego szczątka może odbudować całość innych zwyczajów: matka karmi niemowlę przez dwa i trzy lata, może dłużej, mamek niema, więc każde dziecko, które urodzi się w tym czasie, zostaje uśmiercone. W takich warunkach płodność nie może być znaczną, najwyżej wypada 5—6 dzieci na jedną kobietę, a w tej liczbie już i te dzieci, które umarły śmiercią naturalną. Wprawdzie wielu prawdopodobnie miewało po parę nałożnic, książę Wratysław posiada ich, oprócz głównej małżonki, aż 24, ale, jak znowu pokazują nam fakty, zaczerpnięte z etnografii, polygamia nigdy nie była powszechna, ograniczała się do niewielkiego stosunkowo koła seniorów rodów. Wobec tego, jeśli przyjmiemy przeciętnie liczbę dziesięciu głów, kobiet, dzieci i służby (rabów) na każdego ojca rodziny, chyba nie bardzo oddalimy się od rzeczywistości. W sumie więc ogólnej, dla macierzy grodów pomorskich, tego najprzedniejszego miasta, otrzymaliśmy około 9—10 tysięcy mieszkańców. A zatem nie przewyższało ono rozmiarów naszego dzisiejszego miasteczka powiatowego. Należy jeszcze dodać, iż ta liczba wydaje nam się niezmiernie wygórowana. Pamiętajmy, że były to czasy gospodarstwa naturalnego, kiedy nie było jeszcze gościńców i dowóz wiktuałów był bardzo utrudniony. Miasta średniowieczne, znajdujące się w warunkach o wiele dogodniejszych, posiadają wciąż jeszcze nieznaczną rozległość. Jeśli weźmiemy Niemcy w XIV—XV w., to np. Bazylea, Norymberga, Hamburg posiadały zaledwie po dwa lub trzy dziesiątki tysięcy mieszkańców. A przecież były to już czasy zorganizowanego rzemiosła, jarmarków, pewnej jednolitości społecznej i wyższego stopnia techniki. Wprawdzie Szczecin już podówczas posiada targi dwa razy tygodniowo, są stałe drogi, wiodące do niego, wzdłuż których biskup Otto nawraca pogan, mieszkańcy prowadzą handel morski, ale wszystko to nie stwarza jeszcze dostatecznych warunków dla umożliwienia dziesięciu tysiącom osób przebywania w tem samem miejscu. Co najwyżej możemy przypuścić, iż 900 ojców rodzin miało tam swoją rezydencyę, wówczas gdy rodziny mogły gospodarować gdzieś po za obrębem grodu.

Szczecin stanowi w naszym obrachunku ludności Pomorza pierwszy punkt wyjścia. Pokazuje on nam rozmiary największego miasta. Drugim jest gród, figurujący w kronice Harborda pod nazwą Pirissa (dzisiejszy Pyritz).

Przebywszy olbrzymią knieję, przedzielającą Pomorze od Polski, bis. Otto wchodzi w granice kraju, którego ma zostać apostołem. Według naszych obliczeń, musiał przejść w prostej linii przynajmniej 78—80 kilometrów, zanim dotarł od granicy do pierwszego grodu pomorskiego. W podróży swojej napotkał nieliczne i bardzo małe wioski, zniszczone przez pogrom Bolesława I i naturalnie niewielu mieszkańców, przestraszonych i rzucających się do nóg przybyszom, ażeby ci darowali im życie, przystających, a nawet błagających o chrzest. Pomimo wszakże tej łatwości oraz prawdopodobnej skłonności kronikarza do powiększania czynów swego bohatera, udziela ten ostatni chrztu tylko 30 osobom. Drobne to świadectwo, ale bardzo charakterystyczne przy ocenianiu rozmiarów ludności. Wreszcie biskup Otto przybywa do Pirysy czwartego czerwca. W grodzie odbywa się wielka uroczystość pogańska, tłumy obchodzą ją śród wrzawy, igrzysk, śpiewów, oraz picia. Możemy mniemać, iż to jest zwykłe u wszystkich ludów pierwotnych święto, związane z datą letniego przesilenia słońca, czego ślady mamy w naszej sobótce. Ale kiedy ognie świętojańskie gromadzą zwykle mieszkańców jednej wioski, w okresie społeczeństwa pierwotnego są to uroczystości, na które zbiera się cały powiat (*gau* niemieckie). Istotnie zeszli się tam ludzie „z całej okolicy" w liczbie 3,000 osób. Rozpoczyna się nawracanie, które nie napotyka trudności: wystawiono trzy chrzcielnice, lud zbiera się tłumnie, w ciągu mniej więcej dwudziestu dni ochrzczono 7,000 pogan, tj. prawdopodobnie całą dorosłą i chłopięcą część ludności powiatu z nielicznymi wyjątkami. Pirissa dzięki powyżej przytoczonym liczbom daje nam skalę do oceny sprawności kapłańskiej. Wiemy, iż dziennie biskup z swoim orszakiem może ochrzcić około 350 osób.

Dostaliśmy więc klucz do dalszych obrachunków. Dowiadujemy się, iż w Kaminie, niewątpliwie większem mieście, a raczej grodzie, bo w nim mieszka główna żona księcia Wratysława, apostołowie mają pracy na dni czterdzieści (w innym ustępie prawie pięćdziesiąt), przyczem nic robią nic innego, tylko przyjmują nadchodzących, nauczają, chrzczą, a lud napływa przez cały dzień z wiosek. Otrzymujemy więc dla Kamina z jego okolicą 14—20 tysięcy głów. W Szczecinie, po przezwyciężeniu oporu, następuje tłumne przyjmowanie chrześciaństwa przez ludność tamtejszą oraz okoliczną. Potrzeba na to trzech miesięcy *), co dałoby nam według naszej skali około 30,000 osób nawróconych — cyfrę raczej za wysoką, aniżeli za niską. W Julinie praca apostolska trwa dwa miesiące: z miasta i okolicy tyle przychodzi mężczyzn, kobiet i dzieci obojga płci, iż w ciągu tego czasu kapłani zaledwie mogą podołać zadaniu swemu. Stosując naszą miarę, otrzymamy około 20,000 neofitów. Działalność biskupa Ottona rozciąga się jeszcze na dwa drobne grody w powiecie Szczecińskim, oraz na Klidonę, Kołobrzeg i Bolgrad. Praca apostolska trwa tam przybliżenie od początków lutego do marca, bo już w dniu 22 marca biskup jest w Bambergu. Odliczając więc dni 10—12 na podróż powrotną i rozjazdy, otrzymamy, używając dotychczasowej skali, około 15,000 nawróconych. Pozostały nietknięte cztery grody z ich okolicami i wioskami mniejszej wagi. Dotychczasowe wyliczenia dały nam na powiat (tj. gród z okolicą, prawdopodobnie *civitas* geografa bawarskiego) mniej więcej 10—12 tysięcy mieszkańców. Stosując tę skalę do pozostałych powiatów, otrzymamy dla nich około 40 tysięcy głów.

Tak przedstawia się nasz obrachunek ludności Pomorza. W sumie swojej dałby on około 120—130 tysięcy dusz.

Przyjrzyjmy się teraz możliwym błędom w tem obliczeniu.

Niewątpliwie pewna liczba osób nie stanęła do chrztu. Nie mogła być przecież znaczna wobec tego, iż książę ze starszyzną plemienną popierał nawrócenie, a w drobnem społeczeństwie oporni nawet w małej liczbie nie tak łatwo mogą się ukryć. O pewnej zamożnej wdowie, o jednym z „kapłanów" kronikarz robi nawet wzmiankę. Omyłki, pochodzące z tego źródła, nie mogą być wielkie, najwyżej mogą obejmować kilkaset, dajmy na to, parę lub kilka tysięcy głów — cyfra niezbyt zmieniająca nasze wywody. Natomiast winniśmy uwzględnić zrozumiałą u kronikarza chęć powiększenia uroku i sławy swego bohatera, czego dopiąć mógł najłatwiej, podając cyfry większe, niż rzeczywiste. Już o Szczecinie wspominaliśmy, iż rozmiary jego są dla nas podejrzane. To samo zapewne trzebaby powiedzieć i o innych danych. W każdym razie obrachunek nasz raczej stanowi maksymalną granicę dla ludności Pomorza, niż przeciętną. Pozwala on zaś wyciągnąć jeszcze dalsze wnioski. Według naszego przypuszczenia, działalność biskupa Ottona objęła przestrzeń 160 do 200 tysięcy klm. kwadratowych. To dałoby co najwyżej 6—8 głów zaludnienia na kilometr kwadratowy — znowu mamy cyfrę, która może nam posłużyć przy obrachunku rozmiarów innych plemion Słowiańszczyzny zachodniej.

Jest jeszcze parę innych liczb, o których nie wspominaliśmy. W jednem miejscu czytamy, iż Bolesław I wymordował w swoim pochodzie przeciw Pomorzanom 18,000 wojowników, a 8,000 z żonami i dziećmi uprowadził do Polski. Co do cyfry pierwszej, jest ona mocno podejrzaną: w ówczesnych czasach o zwycięztwie rozstrzygał nieraz orszak pięćdziesięciu jeźdźców, wyprawy liczą po kilkuset wojowników, orszak, z którym książę pomorski stoi na granicy, zawiera 300 towarzyszy. Natomiast druga liczba jest dość prawdopodobną. Według naszych obliczeń na mapie, pogrom dotknął prawie połowę ziemi pomorskiej, miasto Nakło zostało zburzone, a po latach trzech leżą jeszcze trupy i tułają się garstki osób.

Słowem kraj, którego zaludnienie waha się między dzisiejszą Częstochową a Łodzią, w którym największe miasto nie przewyższa małego miasteczka powiatowego, inne zaś grody mają rozmiary naszych większych osad, reszta mieszka rozproszona — oto potęga, którą Bolesławowi było tak trudno upokorzyć. Stąd śmiało możemy wyciągnąć wniosek, iż i sama Polska nie była zbyt wielka. Wątpimy, czy w całości swojej liczyła więcej nad kilkaset tysięcy mieszkańców, tj. przewyższała swem zaludnieniem dzisiejszą Warszawę. A w takich warunkach uprowadzenie ośmiu tysięcy, przypuszczamy nawet trzech, czterech musiało mieć wielkie znaczenie w tworzeniu się podległej ludności wieśniaczej.

L. Krzywicki.

*) Co do tej cyfry zachodzą pewne niedokładności — nasza jest maksymalną.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

Anthony Hope. — Harrel Mallock.

Anthony Hope jest jednym z ulubieńców publiczności angielskiej. Po szeregu opowieści historycznych w duchu Walter-Scota wydał dwa romanse „Więzień Zendy" i „Rupert Hentzau," które ustaliły jego sławę literacką. Powieści te wywołują w Anglii prawie taki sam zapał, jak u nas opowiadania historyczne Sienkiewicza. Autor obdarzony jest potężną wyobraźnią, umie stwarzać postacie żywe i oddawać kolor miejscowy warunków, w których się obracają, a także przykuwać uwagę czytelnika do przygód fantastycznych, które wszelako wciąż się wydają wiarogodnemi. Dodajmy, iż jest wzorowym stylistą i że kompozycya jego dzieł nie pozostawia nic prawie do życzenia.

Jest to prawdziwy Dumas angielski, tylko daleko bardziej dbały o elegancyę i treściwość swych opowiadań. Zresztą takaż sama zręczność w poruszaniu wielkich mas ludności, pośród przygód nadzwyczaj zajmujących, taż sama umiejętność przeplatania tragizmu z komizmem. Autor ma wyborne tematy. „Więzień Zendy" budzi zainteresowanie prawie takiego Dymitra Samozwańca.

Bohaterem powieści jest młody lord Rudolf Rossendyll. Przyjeżdża on do państewka niemieckiego z pierwszej połowy naszego stulecia, Rurytanii. Ma tu właśnie być koronacya następcy tronu, Rudolfa Elphberga, po śmierci starego króla. Rudolf Elphberg jest zwyrodniałym, słabowitym potomkiem słynnej niegdyś rodziny: miejsce jego na tronie chce zagarnąć, wraz z narzeczoną przyszłego króla, piękną Flawią, przebiegły książę Michał, nieprawny jego brat.

Otóż w przededniu koronacyi Rudolf Elphberg i Rudolf Rossendyll spotykają się przypadkiem w podmiejskiej piwiarni i są do siebie tak podobni, iż nikt nie powątpiewa o rzeczywistem ich pokrewieństwie, które objaśnia się Jowiszowskim temperamentem zmarłego króla - ojca. A gdy książę Michał przemocą w tymże dniu owładnął osobą Rudolfa Elphberga, myśląc, iż zabiwszy go, sam będzie ogłoszony królem, świta uwięzionego namawia Rossendyla, aby zgodził się chwilowo odegrać rolę następcy tronu, dał się ukoronować aż do czasu, gdy wyswobodzony z więzienia król będzie mógł zająć swe miejsce.

Młody awanturnik przystaje na tę propozycyę, zostaje ukorowany, gra rolę narzeczonego wobec Flawii, a króla wobec dworu i ludu, jednak czasowo i w nadziei, iż Rudolf Elphberg wyzwoli go nareszcie z fałszywego położenia. Wszystko to, w krótkiem sprawozdaniu wydaje się zupełnie nieprawdopodobnem, ale na tem właśnie polega talent autora, iż potrafił nadać takiej bajdzie pozory artystycznej wiarogodności. Opowiadanie znajduje się wciąż na tej niebezpiecznej krawędzi, po za którą otwiera się otchłań grubego kłamstwa, a jednak fikcya nigdy tam nie spada i autor umie, jak wytrawny żongler, wciąż na krawędzi tej się utrzymać. Jest więc szereg scen wzbudzających obawę o los bohatera, o to, że jednem słowem niedopowiedniem, jednym fałszywym ruchem może się zdradzić i przypłacić swą śmiałość — głową. Z drugiej strony starania czynione przez księcia Michała, żeby się uwolnić od uzurpatora, bądź stawiając go w trudnem dla cudzoziemca położeniu, bądź też chcąc go wciągnąć w jakąś podstępną zasadzkę, dają autorowi możność wprowadzenia licznych i dramatycznych epizodów.

Tymczasem bohater nie na żarty zakochuje się w pięknej Flawii, która odpowiada mu wzajemnością: żeby się uwolnić od pokusy i nie wystąpić ze swej roli tymczasowej, udaje się pod zamek Zendy dla wyzwolenia zeń więźnia. Tu autor zaczyna misternie rozsnuwać cały szereg nowych intryg w tym samym guście, których opowiadać nie będziemy.

„The individualist" Mallocka jest satyrą na bogaczów angielskich, szukających reklamy w działalności, mającej na celu „poprawę doli klas robotniczych." Śród tych osób znajdują się nietylko mężczyźni,

ale i kobiety. Autor wyprowadza właśnie typową tego rodzaju działaczkę w osobie pani Norbam „jednej z najsłynniejszych kokiet w Europie.“ Napisała powieść tendencyjną, trzytomową, w tonie apostoła i proroka. Żyła w otoczeniu gromadki wielbicieli, którzy braliby ją jeszcze bardziej serjo, niż ona sama siebie, gdyby to było rzeczą możliwą. Czułaby się zrozpaczoną, gdyby miała spędzić dzień jeden bez przyjęcia udziału w jakimś ruchu reformatorskim. Używała rozkosznej świadomości, iż jest potrzebną światu, iż masy ją błagają o pomoc, iż mężowie stanu niepokoją się o jej opinię i że klasy eleganckie, z całem ich zepsuciem i lekkomyślnością, nie mogą się obejść bez dyscypliny jej wyniosłej pogardy. Gdyby jej projekty reformatorskie, na nieszczęście, urzeczywistniły się, czułaby się niepocieszoną, jak niegdyś Aleksander Wielki, w braku nowych nadużyć do zwalczania i zwyciężania.

W salonie tej Egeryi ujawia się młody bogacz, p. Lacy, zajęty szczerze losem klas pracujących i chcący przyjąć udział w towarzystwie dobroczynnem, Startfield Hall, które ona założyła.

„Czy pan należysz do prasy?“ — zapytała tonem pogardliwym. Zmieniła ton, gdy Lacy oświadczył jej, iż nie należy do prasy, lecz jest zwykłym posiadaczem ziemskim. Bogacze byli ciągłym przedmiotem satyry pani Norbam: ale na myśl, iż ten nieznajomy mógł być bogatym, stała się słodką, jak miód. „Cel mój — rzekła — polega na tem, aby podnieść, nie za pomocą środków ekonomicznych, lecz kultury i rozwoju umysłowego, przez rozmaitość i bogactwo wiadomości tę masę ślepą, głuchą, nędzną, której świat wszystko zawdzięcza, swą wielkość, dobrobyt i zbytek.“

Autor przenosi nas następnie na zebranie członków towarzystwa, dążącego do tych celów. Przemawia tu elegancki młodzieniec, lord Pollton, przeciw militaryzmowi, wykazując, iż jest on „grą arystokratów.“ Przemawia następnie pani Norbam przeciw egoizmowi wogóle a klas arystokratycznych w szczególności. Wszyscy mówcy mają na ustach „dobro ludu,“ ale w sercu należą wciąż do tejże arystokracyi. Dążą tylko do rozmowy i zadowolenia miłości własnej. Tak pani Norbam innych dam nie dopuszcza do słowa. „Za rok, za dwa, gdy charakter naszych kobiet się zmieni, staną się one głównymi naszymi mówcami. Ale teraz, z wyjątkiem kilku jednostek, kobiety prawią brednie, tracą z widoku przedmiot określony, o którym miały mówić. I wreszcie, wszystkie główne punkty, interesujące naturę niewieścią, będą przezemnie poruszane w moich mowach.“ Na razie, rozpoczyna się sama działalność praktyczna, polegająca na tem, iż p. Norbam gromadzi dziesięć osób z klas pracujących, ale takich, które oszczędziły trochę grosza, i zabiera je ze sobą, za ich własne zresztą pieniądze — „żeby nie krępować w niczem ich swobody“ — do Monaco i do Cannes. „Czynimy to — powiada — nietylko dla wzmocnienia ich zdrowia, ale po to, żeby ich wyrwać z koła zbyt ciasnego, w którem przebywają, i nauczyć niezadowolenia z tego, co im dotychczas starczyło.“

Przybywszy na miejsce p. Norbam rzuca tych biedaków na los opatrzności, gdyż otworzyły się przed nią nowe widoki prawienia swych kazań w salonach arystokratycznych.

Ta satyra, bardzo zręcznie napisana, objaśnia powodzenie, jakiem się cieszy powieść Mallocka, gdyż zawiera ona inną jeszcze część, sentymentalną, którą można uważać za chybioną.

Autor oprócz powieści — z pomiędzy dawniejszych znana jest „Czy warto żyć?“ — pisuje studya społeczne. „O równości,“ „O arystokracyi i ewolucyi,“ w których wyśmiewa zwykle, w sposób dość paradoksalny, przesądy moralne, naukowe i społeczne naszych czasów.

Dr. L. Winiarski.



MALARSTWO.

Z naszych Salonów. Kaufman, Mordasewicz, S. Janowski, Pochwalski, Kędzierski, Jan Styka.

Nuda, przeraźliwa, gniotąca nuda, tandeta artystyczna, partactwo i nieudolność, ubóstwo ducha i uczniowska lichota formy—oto co wyziera z każdego kąta wystaw naszych. Wprost wierzyć się nie chce, że mamy też przecie zdolnych, nawet wielkich artystów, których sława sięga po za obręb parafii. Bo gdy wchodzimy do jakiegokolwiek z „Salonów“ (które zapewne stąd wzięły swą nazwę, że są również nudne, jak bawialne pokoje bankierskie), wydaje się, że jesteśmy na wystawie popisowej początkowych kursów jakiejkolwiek uczelni artystycznej. Dodajmy, że uczniowie nie odznaczają się nadzwyczajną pilnością: śmiało można nie zjawiać się na wystawie przez kilka miesięcy i można być spokojnym, że podczas nowych odwiedzin znajdziemy tę samą starą lichotę, wiszącą na tych samych starych miejscach. Czemu tę martwotę wystaw naszych przypisać należy, doprawdy nie wiadomo. Jest to pytanie oddawna i często zadawane i dotąd pozostające bez odpowiedzi.

„W naszych salonach nie warto nie wystawiać“ — mówią artyści; „niema co wystawiać“ — myślą sobie zapewne zarządy Salonów i powstaje w ten sposób błędne koło, na którem najgorzej wychodzi sztuka i bardziej pod względem estetycznym wykształcona publiczność. Trochę więcej wzajemnej ufności, trochę więcej łączności między artystami a wystawami niewątpliwie wypadłoby na korzyść obojga.

Ot i teraz — na wystawach piszczy bieda... Kilkadziesiąt „ręcznie malowanych“ (bodaj że jedyna ich zaleta!) płócienek w Zachęcie pobudziłoby do snu najgorzej podnieconego i zdenerwowanego człowieka. W tej pustyni szarzyzny i nudy odkryć się daje ledwie parę maleńkich oaz, przed któremi stajemy zaciekawieni, lub... rozżaleni. Te oazy — to prawie wyłącznie portrety. Aż cztery wystawił Leon Kaufman i budzi nimi w widzu żal i gniew. Oto na wyzłoconem płótnie, drewniana, w drewnianą czerwoną pelerynę otulona postać, której głowa, dość nawet żywa w ruchu i prawdziwa w kolorze, ulepiona jest nie z ciała, lecz mydła i gliceryny. Twarz przykryta dość gęstą woalką, na głowie — wielki czarny kapelusz. Całość robiona na efekt z zapaszkiem modernistycznym, lecz zapaszkiem tanich perfum, sprzedawanych w składach aptecznych na łuty, nie tym wykwintnym, subtelnym, godnym wydelikaconego węchu bohaterów modernizmu à la Huysmans. A to złote tło? I to sztuczka dla zamydlenia oczu, dla pozbycia się czasem niewygodnych i wymagających nieraz trudu do odtworzenia reflexów tła i „entourage'u“. Dalej pastel, głowa, zdaje się, podług tego samego modelu wykonana, mało żywa i mdła, chociaż ta „mdłość“ nie może być wytłomaczona użytym materyałem; bo przypomnijmy sobie tylko Liotarda („Chocoladenmädchen“) i głowy Rafaela Mengsa w Dreźnie: toż więcej w nich życia, niż w olejnych portretach wszystkich modernistów à la Kaufman. Prócz tych dwu damskich, mamy jeszcze dwa męzkie portrety tego artysty. Jeden z nich (popiersie dr. F.) każe żałować modelu, z którego malarz nie chciał lub nie umiał skorzystać; krzywy w rysunku, drewniany, bez plastyki, życia i prawie bez koloru — tak po nim rozlana szarość — wygląda na robotę ucznia, nie artysty. I możnaby przejść obok tych płócien zupełnie obojętnie, jak obok wszystkich prawie „dzieł,“ wystawionych w Zachęcie, gdyby nie portret dr. K., który zatrzymuje wzrok i budzi... żal do artysty. Bo w tym ostatnim portrecie pazur niewątpliwego talentu wyłazi z płótna wyraźnie. Jeśli ubranie siedzącej w fotelu postaci jest zupełnie niewykończone i twarde, jeśli palce u rąk robią wrażenie patyków, jeśli nawet twarz jest niezupełnie plastyczną, to oświetlenie, dobrze pochwycony wyraz i doskonałe „entourage“ każe poniekąd o tych wszystkich brakach zapomnieć; tak oddać światło i przestrzeń potrafi tylko prawdziwy talent. Jak więc lichotę innych prac Kaufmanna wytłomaczyć sobie można? W sposób bardzo prosty: jego portrety są to prace artysty, mającego powodzenie, zawalonego obstalunkami. Cóż więc po artyzmie i wykończeniu! Aby tylko prędzej skończyć, zrzucić płótno ze stalug, bo nowy obstalunek czeka; trochę maniery i trochę blagi — oto co może zastąpić pracę i studya. Droga, którą idzie Kaufman, może zaprowadzić jego talent tylko — do ruiny.

W pokoju obok Mordasewicz wywiesił cały szereg portretów, z których najlepsze i najżywsze są pastelowe. Jego, jeśli tak można powiedzieć, twardy sposób malowania ożywia pastel, lecz czyni martwą i pozbawia miękkości farbę olejną: nawet koloryt jest w pastelach stokroć żywszy i prawdziwszy.

O Ludomirze Janowskim wspominaliśmy już na tem miejscu z powodu wystawy jego prac w Salonie Krywulta. W ciągu roku ostatniego postępu zauważyć nie można. Najlepsze jego rzeczy są to studya pastelowo-rysunkowe w jednym tonie utrzymane. Portrety olejne mają za mało w sobie życia i plastyki.

A śród nich wszystkich króluje przedziwnie żywa, wyrywająca się z ram postać męzka, nie malowana, lecz stworzona przez Pochwalskiego. Jest to jedyny rzeczywiście żywy człowiek, z mięśniami, krwią, kośćmi i duszą pośród tych pół-ludzi, półmanekinów. A dodajmy, że to nie najlepszy z portretów Pochwalskiego.

Po za portretami jedna tylko „Antosia“ Kędzierskiego zatrzymuje w Zachęcie widza. Bo też ta idąca z wiadrami dziewucha, cała złota od słońca, cała w blaskach tęczowych skąpana jest tak żywa, tak wdzięku własnego i wdzięku tych świateł słonecznych pełna, że przypomina tę Kasię z bajki Rydla, co to „miała oczy, jako dwa bławatki, usta jak dwie wiśnie liczka jak dwie zorze i na służbie była we królewskim dworze... i musiała latem w gorące południe iść po jasną wodę z konwiami pod studnię.“

. . . .

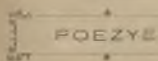
U Krywulta wita nas afisz, jak zwykle, zapowiedzią obrazu „olbrzymich rozmiarów.“ Jest nim na ten raz pantomina, wyobrażająca przysięgę Witolda. Oprócz książęcego pacholęcia, którego twarz posiada niezłe oddany wyraz uniesienia, prócz jednego rycerza na koniu z prawej strony obrazu, bardzo plastycznego i żywego w ruchu, prócz paru prawdziwych sosen na planach dalszych, reszta to manekiny pozujące, pozbawione wszystkiego, coby żywych ludzi przypominało, w dodatku ogromnie konwencyonalnie ugrupowane i wymoczone w jakimś niepojętym sinawo-niebieskawym sosie. Ten sam „sos“ obficie się rozlał na wszystkich prawie płótnach „mistrza Jana ze Lwowa,“ na szkicach do „Bema w Siedmiogrodzie,“ na których niema ani krzty rozmachu, brawury i ognia epoki, nawet na niezłym w rysunku i dość żywym „portrecie własnym“ i na wszystkich prawie studyach do „Golgoty.“ Lecz jest natomiast pomiędzy tą artystyczną

pełną pretensyj tandetą parę szkiców ołówkowych do „Golgoty" tak doskonałych, tak żywych i tak wprost tchnących kolorem, że starczą wartością swą za wszystkie płótna „olbrzymich rozmiarów"; szkoda, że te ostatnie nie pozostały na zawsze tylko w formie tych świetnych szkiców.

A reszta obrazów w Salonie Krywulta? A no od paru chyba lat te same płótna, zawsze w tych samych miejscach wiszące, na które zapewne jeszcze przez lat parę aż do znudzenia i mdłości patrzeć będziemy zmuszeni.

Choć trochę świeżego powietrza do tej stęchlizny!..

Michał Mutermilch.

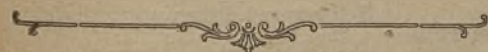


Felsenstadt pod Adersbach.

(Heksametr).

Wracam z pod Adersbach, wrażeniami wielkiemi [bogaty...
Miasto czarowne skał w wyobraźni jeszcze oglądam...
Twórcza natury moc wulkanicznym ongi wybuchem
Śmiało dźwignęła tam fantastyczne stosy kamieni:
Piętrzy się skalny gród z ulicami, domami z piaskowca,
Strojny w zielony haft — w niebotycznych sosen [ogrody.
Ludny i rojny jest nieruchomych postaci szeregiem:
Dziwi się mocno wzrok, dopatrując śród kształtów kamiennych
Ludzi i zwierząt tłum, wielkoludów stworzenia [potworne.
Ach, pracownia to wszak najdawniejszej rzeźbiarki-przyrody!
Ongi porwał ją szał—gwałtowna gorączka tworzenia:
Może śniła już wówczas późniejszy ten świat organiczny,
Próby czyniła potężne, wcielając w kamieniu [naprędce
Wielkie pomysły swe, ożywionych kształtów [idee,
Zanim w drobniejszych rozmiarach wydała je [artystyczniej
Tchem wypełnione żywotnym i zdolne do czucia [i myśli.
. . . .
Hołd więc oddaj, pielgrzymie, tej grubej rzeźbiarskiej robocie.
Znajdziesz w kamieniu genialne pierwotnej natury marzenia!

Leo Belmont.



W DALI.



Petersburg. *Mosk. Wied.* piszą: „Departament gospodarczy ministeryum spraw wewnętrznych zgromadził dane, dotyczące własności ziemskiej w kraju Zachodnim. Materyał obejmuje 9 gubernij i, charakteryzując zmiany w układzie własności ziemskiej od r. 1865, daje ścisły obraz wzajemnego stosunku własności ziemskiej rosyjskiej i nie-rosyjskiej w chwili obecnej. Z całej przestrzeni własności prywatnej w 9 guberniach zachodnich w ręku Rosyan znajduje się dziś 41,8%. Policzone tu są i grunty dworskie i osadników staroobrzędowców. Pozostałe 58,1% przestrzeni własności prywatnej tak się dzielą: 51,3% w ręku Polaków, 6,4% Niemców i 0,4% Żydów. Jak wielkie zmiany w układzie własności ziemskiej kraju Zachodniego zaszły od r. 1865, dzięki prawom, ograniczającym własność polską, świadczy zestawienie następujące: w roku 1865 własność polska stanowiła 82,6% ogólnej przestrzeni majątków prywatnych w 9 guberniach, gdy dziś 51,3%; własność zaś rosyjska, wynosząca w r. 1865 tylko 15%, teraz czyni 41,8%."

Grodno. Pożary miast, miasteczek i wsi szerzą się z niebywałą oddawna gwałtownością. Najstraszniejsza klęska spadła na Prużanę, miasto powiatowe w gub. Grodzieńskiej. Zupełnie zniszczona dzielnica, ciasno zabudowana domami drewnianymi pomiędzy rzeką Muchawcem a ulicami: Grodzieńską (w części), Staro- i Nowo-Sieroszewską oraz Kobryńską. Ogółem w dzielnicy tej spaliło się 205 domów, zamieszkanych przez 600 rodzin (2,000 osób), przeważnie Żydów ubogich: małomieszczan, rzemieślników i drobnych handlarzy. Spłonęło także kilka domów kupców zamożnych. W gub. Kowieńskiej zgorzały miasteczka: Poszwityn i Dobejki. Spaliło się przeszło sto domów, między innymi zarządy miejskie i apteki. Były ofiary w Judziach. Straty obliczają przeszło na 100,000 rb.

Sobieszyn. Przyjmowanie kandydatów do miejscowej szkoły rolniczej zapowiedziano na 28 sierpnia. Młodzieńcy w wieku 13—17 lat, pragnący wstąpić do klasy przygotowawczej, mają składać egzamin według programu ministeryum oświaty dla jednoklasowych szkół elementarnych, kandydaci zaś do klasy pierwszej w wieku od 14—18 lat, będą składali egzamin według programu ministeryum oświaty dla dwuklasowych szkół elementarnych. Interesowani winni przesłać podania i dowody, składające się z metryki urodzenia, świadectwa lekarskiego o zdrowiu i szczepionej ospie, świadectwa pochodzenia i świadectwa policyi o prowadzeniu się kandydata lub świadectwa szkolnego, na ręce zarządzającego szkołą rolniczą sobieszyńską, adresując do st. Iwangród gub. Lubelskiej, nie później niż do 20 sierpnia. Najbliższe stacye kolejowe do szkoły: na kolei Nadwiślańskiej st. Iwangród o 25 wiorst od szkoły i na drodze Iwangrodzko - Łukowskiej — przystanek Ryki o 12 wiorst.

Lublin. Z inicyatywy pp.: Millera, Zarębskiego, Kaluchaya, Mejersohna i Głowackiego powstaje w Lublinie średnia szkoła handlowa. Ustawę już opracowano i przedstawiono władzy, która przyobiecała swe poparcie. Przy szkole istnieć będą klasy niedzielne dla młodzieży pracującej w sklepach. Rada pedagogiczna szkoły składać się będzie z przewodniczącego i czterech członków, wybieranych z pośród kupców lubelskich, z przedstawiciela ministeryum skarbu, o ile będzie mianowany, i z inspektora szkoły. Do zakładu tego przyjmowani będą przedewszystkiem synowie stałych mieszkańców Lublina i członków miejscowego zgromadzenia kupców, a w razie wolnych miejsc także dzieci rodziców zamiejscowych.

Łódź. Z mocy rozporządzenia kuratora okręgu naukowego warszawskiego, dyrekcyę naukową łódzką podzielono pod względem inspekcyi szkolnej na trzy okręgi: łódzki, piotrkowski i częstochowski. Do łódzkiego należą powiaty: Łódzki i Będziński, do piotrkowskiego: Piotrkowski, Brzeziński i Rawski, do częstochowskiego: Częstochowski, Noworadomski i Łaski. Nadzór nad szkołami powierzono: w okr. łódzkim naczelnikowi dyrekcyi naukowej, w piotrkowskim—inspektorowi szkół ludowych Grozdowowi, w częstochowskim — inspektorowi Dorofiejewowi. Pod dozorem inspektorów szkół ludowych pozostawać będą wszystkie szkoły elementarne rządowe i prywatne po wsiach i miastach. Szkoły prywatne 6-klasowe żeńskie, szkoły miejskie, według ustawy z r. 1887, tudzież 4 i 6-klasowe męzkie pozostawać będą i nadal pod wyłączną inspekcyą naczelnika dyrekcyi naukowej łódzkiej.



KRONIKA.

Szkoły. W Łowiczu otwarte będzie 4-klasowe progimnazyum żeńskie w lipcu r. 1900.

— Kurator okręgu naukowego warszawskiego, powołując się na rozporządzenie ministeryum oświaty z dn. 17 lipca r. b., zaleca młodzieży, która ukończyła gimnazyum w Królestwie Polskiem, ażeby przy wstępowaniu na uniwersytet trzymała się swego okręgu. W innych bowiem, skutkiem powyższego rozporządzenia ministeryum, może zabraknąć miejsca.

— Ministeryum skarbu zatwierdziło ustawę szkoły handlowej p. Andrzejczaka we Włocławku. Kurs trzyletni, wykład obejmie następujące przedmioty: buchalteryę, nauki handlowe, wiadomości z prawa handlowego i przemysłowego, arytmetykę handlową, algebrę, geografię handlową Rosyi, korespondencyę handlową, towaroznawstwo miejscowego rynku handlowego. Kandydaci powinni złożyć: świadectwo z ukończenia szkoły dwuklasowej męzkiej lub egzamin odpowiedni.

Koleje i komunikacye. *Warsz. Dn.* zamieścił następującą notatkę: W czasie przejścia b. kolei Warszawsko-Terespolskiej na rzecz skarbu i następnej likwidacyi b. kasy emerytalnej, pracownikom, pozostałym na służbie, pomimo, że przesłużyli pewien okres czasu, dający im prawo do emerytury, zwrócono, narówni z pracownikami niemającymi żadnych praw, tylko ich wkłady. Obecnie, przewidując, że istniejąca kasa emerytalna kolei skarbowych nie zabezpieczy im starości, występują oni ponownie z prośbą do b. prezesa tej kolei, bar. L. Kronenberga, o uzupełnienie sum otrzymanych wkładów w takim rozmiarze, w jakim otrzymali je ci, którzy opuścili służbę przed przejściem kolei na rzecz skarbu. Prośba ta motywowana jest i tem, że niektórzy z tych, którzy opuścili służbę i byli uważani za emerytów, byli młodsi i latami służby i latami życia od tych, którzy pozostali, nadto w podaniu wymieniono i okoliczność, że wiele osób opuściło wtedy służbę na kolei Terespolskiej na własne żądanie, dla własnej korzyści. Krążą pogłoski, iż podobno istnieje jakaś suma 60,000 rb., stanowiąca przedmiot sporu pomiędzy akcyonaryuszami b. kolei Warszawsko-Terespolskiej a skarbem; może byłoby sprawiedliwem przeznaczyć obecnie fundusz ten na rzecz poszkodowanych przy likwidacyi kasy emerytalnej."

Wystawy i zjazdy. Rosyjskie instytuty weterynaryjne otrzymały wezwanie do udziału w międzynarodowym kongresie weterynaryjnym, który odbywać będzie posiedzenia w Baden-Baden od d. 19 do 24 sierpnia r. b.

— W końcu września r. b. odbędzie się w Warszawie drugi z rzędu zjazd lekarzy kolejowych. W programie obrad znajdują się między innymi następujące przedmioty: 1) sprawa kuracyi oficyalistów kolejowych w miejscach kąpielowych i sanatoryach; 2) ułożenie wykazu chorób, niepozwalających na zaciągnięcie się do służby kolejowej; 3) sprawa świadectw lekarskich przy ubezpieczeniu się oficyalistów na życie według projektu kasy emerytalnej ministeryum komunikacyi: 4) organizacya służby lekarsko-sanitarnej na kolejach podjazdowych; 5) stworzenie na kolejach pomocy akuszeryjnej i urządzenie przytułków położniczych: 6) urządzenie pomocy dentystycznej; 7) urządzenie na odległych liniach kolejowych instytutów pasterowskich i szczepienia ospy; 8) sprawa wypadków nieszczęśliwych na kolejach, rozważana w związku z ruchem pociągów; 9) kwestya posługiwania się okularami ochronnymi przy pracy w warsztatach kolejowych.

— Zjazd dentystyczny w Petersburgu uchwalił: 1) zaniechać tworzenia dentystów drogą zapisywania uczniów do gabinetów dentystów i do lekarzy; 2) nadać ulgę w pozyskiwaniu przez dentystów tytułów lekarza po zdaniu oznaczonego egzaminu, bez żądania przytem ustanowionego dla lekarzy-dentystów cenzusu ogólnego wykształcenia, z przyznaniem tej ulgi terminu 5-letniego od chwili wyjednania odnośnego prawa: 3) prawo urządzania szkół dentystycznych przyznać wyłącznie osobom, posiadającym, oprócz zamożności i cenzusu moral-

nego, dostateczne wykształcenie ogólne i specyalne; 4) szkoły dentystyczne nazywać instytutami; 5) tytuł lekarza-dentysty uznać za tytuł nie specyalnie-praktyczny, lecz naukowo-praktyczny; 6) w imię postępów nauki dentystyki nadać lekarzom-dentystom prawo pozyskiwania stopni magistra lub doktora dentystyki; 7) wzorem farmaceutów wprowadzić do rady lekarskiej ministeryum spraw wewnętrznych jednego przedstawiciela dentystów i zastępcę jego. Uchwały powyższe, ujęte w formie podań, mają być złożone władzom do zatwierdze-[illegible]

Katastrofy. Na kolei południowej, pod Grafenstein, między Celowcem (Klagenfurt) a Marburgiem wykoleił się pociąg pospieszny. Jeden z oficyalistów kolejowych zabity, 6 osób ranionych ciężko, 10 lekko.

— Podczas obchodu rocznicy polskiego Towarzystwa gimnastycznego „Sokół" w Charlottenburgu, piorun zabił trzy osoby i ciężko pokaleczył około [illegible]

Zmarli. Wincenty Rakiewicz, w Warszawie; znany budowniczy. Pisał artykuły specyalne w *Zdrowiu* i *Przeglądzie technicznym*.

Odpowiedzi Redakcyi

Panu A. Wisr. Rozpowszechnione dziś słowo *omówić* jest przekładem niemieckiego *besprechen* i wcale z tem znaczeniem w języku polskim nie istnieje. Słowo to znaczy u nas przeciwnie: unikać wyraźnego mówienia o czemś. Jeżeli więc spolszczone *besprechen* ma się stale utrzymać, w takim razie nasze prawdziwe *omówić* musi być z języka polskiego usunięte. Bo gdy powiemy, że ktoś „omówił jakiś przedmiot," nie będzie wcale wiadomem, czy nim się zajmował, czy też go ominął. Naturalnie ta okoliczność naszych stylistów nic a nic nie obchodzi. Jak barłożyli, tak dalej barłożyć będą.

P. O. w Mohylowie. Takie zajęcie znaleźć [illegible] tylko drogą ogłoszeń w pismach.

S. Jeżeli Pan żąda odpowiedzi w *Prawdzie*, [illegible] widocznie jest Pan jej czytelnikiem. Jeżeli P[illegible] jest jej czytelnikiem, to powinien Pan wiedzieć, że termin przedłużony został do 1 października. Jeżeli termin przedłużony został do 1 października, to konkurs nie mógł być już rozstrzygnięty, i owa „fama," której Pan zawierzył, plotkuje bezmyślnie. Dopiero tedy około listopada dowie się Pan z publicznego sprawozdania o losie swego utworu i [illegible]

SPROSTOWANIE. W nr. poprzednim, w art. p. t. „Liberum veto," str. 354, w wierszu 32 od dołu winno być: „Po przytoczeniu niezliczonej ilości" (a nie „nielicznej").

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 23 Іюля 1899 г.

[illegible] Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka, 8.